

POWIEŚCI HISTORYCZNE

I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE TANIE)

Wydawnictwo Literackie



SASKIE OSTATKI.

(AUGUST III).

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

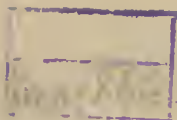
CZĘŚĆ DRUGA.

TOM I.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1891.



Дозволено Цензурою.
Гаршава, 26 Августа 1891 года.



~~~~~  
Druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Danielewiczowska 16.



## I.

Rok 1763 rozpoczął się straszliwym dział na zamku Nieświeżskim hukiem i grzmotem. Jedne po drugich dawały ognia, nabijano co się zmieściło, żegnane wpośród okrzyków, oblewane kielichami wina, które przy nich spełniano tak nieogłędnie, że kilku śmiałków armaty potrafiły i poobalały.

Nie mniejszą wrzawą witała rok Nowy Warszawa, w której Król August III rezydował jeszcze, ale mu się już uśmiechał powrót do ukochanego Drezna, o którym śnił i marzył.

Mało to zaprawdę obchodziło J. K. Mość, że wyścieńczona siedmioletnią wojną Saksonja, litości i miłosierdzia woła, że w Polsce rwały się Sejmy, ładu nie było, samowola panowała i anarchja, że Brühl wszystko sprzedawał, co kto u niego chciał kupić, a stronnictwa w Koronie i na Litwie wojnę domową zapowiadać się zdały. Brühl z jednej strony, Czartoryscy z drugiej,—Fleming i Radziwiłłowie—zajeżdżali się, palili, sądzili po trybunałach na infamję, godzili i waśnili, a król tymczasem jak się wyśmienicie bawił, wszystkim wiadomo. Po niezliczonych miłośnicach, które starannie do kronik za Augusta II wciągano — również jak liczne potomstwo, syn, który wszystkie jego odziedziczył gusta i nawyknięcia — wyrzekł się metress zupełnie.

Napróżno go usiłowano nakłonić, aby jako Ludwik XV po Ludwiku XIV, on też w poprzednika

swego wstępując ślady, wybrał sobie jaką Cosel lub Lubomirską. Nadto był pobożnym, aby jawnogrzecznictwem się miał zwałać, potem zbyt miał zazdrośną żonę i rozumnego kierownika sumienia, który potrafił zapobiedz, aby namiętności za brzegi się nie wylewały. Mówiono coś po cichu, nic nie stało się głośnem.

Rozpływał się król uad cudnym głosem Faustyny, słuchał jej rozkazów, lecz... królowała tylko w teatrze... Zresztą miał August III czem zastąpić rozkosze zmysłowe, — niepotrzebując się ani kryć, ani wstydzić namiętności do łowów, upodobania w muzyce. nawyknienia do słuchania grubych i tłustych żartów nadwornych swych błaznów, trefnisiów i ulubieńców; miłośnictwa obrazów, czci dla Rafała, miłości dla pokutującej Magdaleny, naostatek i rozkochania w tej fajce, z którą już August II, jeździł po lipskim jarmarku...

Wszystko złe, okropne, smutne, rozpaczliwe... spadało na ramiona ulubieńca Brühla; on dźwigał wszelkie ciężary, on połykał wszystkie gorycze, on miał odpowiadać przed potomnością. U drzwi J. K. M. stała straż, która gdy raz włożył szlafrok, nie puszczała nikogo, oprócz O. Guariniego, ministra Brühla, królowej i powołanej służby...

Nie przechodziły tego progu ani pisma, ani ludzie, ani jęki, westchnienia i pochlebstwa, ani śmiechy i paszkwile.

Przed oknami król miał plac tak strzeżony, jak drzwi — pokazywano mu na nim tylko to co chciał widzieć, zakrywano coby go zafrasować mogło.

Przed oknem tem wieczorami, gdy król polowania nie miał, albo powrócił niem nie syty, rzucano konie zdechłe, do których się przywlekały psy zgłodniałe... a król mógł do nich strzelać wygodnie.

Bawił się też oswojonym, ulubionym krukiem, a czasem i psami, ale od czasu jak się dowiedział, że

Fryderyk pruski hodował charty... odpadła go ochota zajmowania się niemi.

Czas upływał tak wyśmienicie podzielony na nabożeństwo, odżywianie i napijanie, łowy, śmiechy, słuchanie Faustyny i przyjmowanie gości z Saksonii i Polski napływających, gdy Brühl im wniść z sobą dozwalał, że król August nudzić się nie miał czasu.

A mimo to tęsknił!!

Wprawdzie lasy polskie i litewskie mogły mu zastąpić te, które rosły pod Hubertzburgiem, Moritzburgiem i w oddalonych Saksonii zakątkach, żubry warte były jeleni, ało galerja obrazów, którą tak kochał, którą zebrał takim kosztem, stała zamknięta w Königsteinie i jedna z niej Magdalena towarzyszyła królowi na polskim wygnaniu, ale nie miał tu takiego teatru jak w Dreźnie, na którymby tryumfy Aleksandra Wielkiego rozwijać się mogły, ani pysznej bażantarni z teatrem letnim w zieleni, ani swych śpiewaków, ani swego kościoła... ani swego Drezna.

Wielkie maskarady, karuzele, jarmarki, które tak swobodnie się obracały w saskiej stolicy, na Warszawskim gruncie obracać się nie umiały.

I ci kontuszowi poddani J. K. Mości, tak śmieli i krzykliwi nie byli mu tak ulubieni, jak jego spokojna szlachta Saska, która słuchała, nie rezonowała, nie upominała się o nie i dawała zastępować na najwyższych dostojenstwach przez włochów, francuzów, przybłędów ze świata całego.

Pomimo pilnej straży, którą Brühl sprawiał u królewskich podwoi — wciskały się zuchwale memorjały hetmana Branickiego przeciwko ministrowi Brühlowi, skargi na jego chciwość, przekupstwa, zaskarżenia i potwarze.

Odrzucał je — wierny swojemu ministrowi król — z oburzeniem, darł je i deptał, ale psuły mu one humor, stanowiły choć krótko trwającą, lecz dysbarmonijną nutę.

Nadzieja więc powrotu do Drezna po kilkoletniem

z niego wygnaniu, uśmiechała się mu bardzo... ale Brühl, wielce rozumnie nie chciał go tam puścić, do-  
jókiby okrutne ślady zniszczenia, jakie mściwa ręka Fryderyka zostawiła po sobie, wymienione nie zostały.

A nie było to łatwem. Saksonja wychodziła z pod  
jarzma obcego jak męczennica, którą puszczono po  
torturach okrwawioną, wynędzniałą, bezsilną. Ślady  
pruskich rąk niezgluzowane wypiętnowały się na zam-  
ku, w mieście, a najstraszliwiej wypiekły na Brüh-  
lowskim pałacu i ogrodach. Tu stało wszystko w ru-  
inach. Królewski przepych pierwszego ministra, le-  
żał w gruzach, zasypany śmieciem.

Ledwie się z niego to dało ocalić, co się trwało-  
ścią swą plądrującym oparło żołdakom.

Drezo miało czas zapomnieć, że niegdyś było  
najrozkoszniejszym, najweselszem, najożywieńszem mia-  
stem w Europie, że miało karnawały podobne do  
Weneckich, dwór przypominający Wersalski, króla,  
który chadzał cały w brylantach...

August III powracając nie powinien był zastać  
tego, co przed nim tajono. Przez cały ciąg wojny,  
król wiedział tylko o powodzeniach, nie słyszał o klę-  
skach, nie wierzył w nie. Gdy niespokojny czasem  
zapytał Brühla znienacka.

— Mamyż pieniądze.

Minister z oburzeniem odpychał posądzenie samo,  
iżby ich mogło zabraknąć. I mógł na to zapytanie  
„mamy“ nie kłamiąc zaręczyć, że je mieli, bo jego  
skarbcza nawet wojna siedmioletnia wyczerpnąć nie  
mogła. Brühl miał pieniądze. Oplacano mu, każdy  
urząd koronny i litewski, każdy przywilej, który król  
podpisał, każdą łaskę, każde żądanie spełnione. Brał  
pieniądze od przyjaciół i od swych wrogów, którzy  
równie jak pierwsi opłacać mu się byli zmuszeni.

Niekiedy tylko kamerdyner królewski naśladować  
Brühla, rano nim nadszedł minister podsunął coś N.  
Panu do podpisu—i August II, paląc fajkę, z uśmie-

chem dziecka, które figiel płata, zamaszysto kładł na nim swe imię—grożąc na nosie...

Składano na faworyta kruka, że on te arkusze przekradał.

Brühl tak jak się osiedlił w Saksonji, umiał zakorzenie się w Polsce, wywieść od Brühlów z Ocieszyna, i syna uczynić polakiem, starostą i generałem wojsk Rzeczypospolitej.

Nigdy cynizm nie rozpościerał się zuchwalej na wysokiem i na widok całego świata wystawionem stanowisku.

W przededniu gdy się wygnanie polskie skończyć miało, gdy się król i minister powiuni byli cieszyć z tego co uratowali, gdy bić potrzeba było we dzwony i Te Deum śpiewać—niestety!—jakieś przeczucia czarne opanowały wszystkich.

Brühl chodził żółtkły, posępny i struty. Dławili go Czartoryscy... August III, dusiło wspomnienie Pruskiego bohatera Fryderyka —w Polsce, gdy się pozbyciem Sasów radować chciało -- jakieś przewidywania klęsk i zawikłań chmurzyły najpogodniejsze umysły.

August myślał czasami o swej rodzinie, chcąc ją na tronie elekcyjnym ubezpieczyć, a od północy, która mu się z przyjaźnią oświadczała, nie wiele jej dowodząc grzmiało i błyskało jakąś grozą... Zapowiedano ztamtąd jakiegoś tajemniczego następcę, którego obawiali się wszyscy.

Atmosfera była duszna i ciężka.

W Rzeczypospolitej naprawdę nie rządził już król, nie władał nią zręczny Brühl, rządzili się Czartoryscy, familija, zamącali nią Radziwiłłowie...

Po pałacach i dworach popijano i popuszczano pasów od rana do wieczora, ucztowano po refektarzach klasztornych, często na wąskiej grobli u młyna, w lesie na polance spotykać było można rozstawione stoły i improwizowaną biesiadę dwu nie marnujących czasu senatorów, których potem dla kontynuacji po-

dróży niesiono uśpionych do karet, aby wczas stanęli na ufundowanie Trybunału.

Czasu Trybunałów, sądzono na gardło—ale obok po szopach wyprawiano Lukullusowe gody, na których beczka wina starego pięćset czerwonych złotych wartująca nie była rzadkością.

Cóż za dziw, że podchmieliwszy sobie panowie o północy dzwonili do furt panien zakonnice?..

Było wogóle tu wesóło, że czasem wesela od pogrzebu rozeznać nie było podobna. Z równym prze-  
pylem odbywały się jedne i drugie, ale ślubów nie brano na serjo... Rozwody tak były łatwe, jak małżeństwa kruche. Po Augustcie II zostały galanteryi tradycye i spadki.

Tylko w głębokich zaciszach oddalonych prowincyj po staremu świętym był związek małżeński — w stolicy i miastach—służył on za narzędzie spekulacy i rozpucie.

Nigdy się może w przededniu bankructwa nie sy-  
pały, nie płynęły takim strumieniem wezbrany pieniądze jak w owych czasach; nigdy nie kochano tak w przepychu jaskrawym i świecącym.

Panów dwory wyglądały na monarchiczne, a wojska ich liczyły na tysiące, szlachta kusila się na pańską postawę. Tylko niekuśliwy kmieć pozostał jak był, ze swą rzepą na zagonie wyjałowiałym, w wytartym kożuchu, w podartej siermiedze, — z chatą na pół w ziemię, zapadłą.

Duchowieństwo co z łona szlachty i panów rośło, nie było od niej różne. Na jednego Konarskiego, iluz było Massalskich, co chodzili już we frakach, przy szpadach i grywali po całych nocach w Faraona.

Język Kochanowskich zduszony łaciną, konał w jej objęciach. Drukowano na bibule obrzydłe panegiryki pojąc się niemi jak gorzałką. Po miastach, po pałacach, po dworach językiem modnym był francuzki, w handlu szwargotano po niemiecku w klasztorach



i po trybunałach posługiwano się łaciną, polski język szedł na folwark i do przedpokoju.

Książka też walała się zapomniana, i była obumarłą, bez życia. Co najwięcej czytano kalendarz Duńczewskiego, edukowano się na ziemianinie Haura. Stare piosnki latały z obłamanymi skrzydłami w powietrzu.

Niepokój jakiś panował w umysłach...

Co to będzie??

Z cicha pytali się jedni drugich, a nikt odpowiedzieć nie umiał, wiedzieli tylko wszyscy, że tak jak było, pozostać nie mogło. Anarchja doszła do tego stopnia, że tak jak było pozostać nie mogło. Ci co ją mnożyli wiedzieli, że jutro jej coś kres położyć musi.

Król i Brühl patrzyli tęskniąc w stronę Drezna, inni na północ się oglądali — inni gotowali z nieładu dla siebie korzyści.

Magnatom śniła się korona.

Tak panować jak August III, potrafił by z nich prawie każdy.

Zmiany, którą czuli wszyscy nadchodzącą, nikt przyspieszyć nie miał odwagi, — nie pragnął.

Gmach porysowany, strzaskany, mógł się im obalić na głowy.

W Saskim pałacu jakby nie pakowano do podróży, w Brühlowskim stało jeszcze wszystko tak jakby się ruszyć nie miało.

Powódź nieładu i burzliwe fale anarchij, do spokojnego pałacu Saskiego nie dochodziły. Oblegano Brühla, do Króla nikt się nie dobijał, saska gwardja broniła przystępu.

W stolicy cień jeszcze jakiś władcy czasem czuć się dawał, dalej za rogatekami tyłu było panów ilu magnatów nimi być chciało. I były państwa Czartoryskich, Flemingów, Brühla, Potockich, Radziwiłłów, Ogińskich, Lubomirskich, lub skojarzonych małżeństw i pokrewieństw.

Na każdy sejmik ciągnęły obozy, na każdym się rozpoczynała wojna, często przelewała krew, i zwyciężeni uchodzili do domów, wpisując do akt stosy manifestów.

Nigdy tyle papieru nie zapisano napróżno. Siła rządziła i robiła co chciała, ale w papierów ważność i znaczenie wierzone święcie.

Pisano jak mówiono i pito bez miary. Każdy sejmik kończył się manifestem, każdy Sejm nim zrywał. Każda czynność nim groziła,—a kto umiał wykretnie piórem władać jak szablą, ten torował sobie drogę łatwo na świecie.

Stylu nie wymagano, ale zwinności myśli i giętkości sofizmatów. Kto umiał władać konstytucjami, korektorami, studentami ten stał górą.

W ostatnim razie dopiero gdy nie stało argumentów, szabla je zastępowała.

Był wieczór, król w swoim gabinecie czekając na światło, odpoczywał w szlafroku jedwabnym tureckim, lekkim futerkiem podbitym, z fajką dopalającą się w ustach. Naprzeciw niego na ścianie, nie wysoko wisiała ukochana Magdalena pokutująca, otoczona ramką, srebrną pozłacaną i wysadzaną kamieniami drogiemi. Magdalenie zbyt do twarzy nie było w tej oprawie, ale ona dotykałnie świadczyła o czci jaką J. K. Mość miał dla arcydzieła.

Wystawiało ono cudnie piękną grzesznicę jeszcze świeżuchną i pulchną, więc chyba dopiero od godzin kilku zamieszkującą chłodną pieczarę, u której wnijścia spoczywała zaczytana w ogromnej księdze.

Byłaż to pokutująca Magdalena, ta która godną się stała aby jej powiedział Chrystus iż wiele przebaczonem jej będzie, bo wiele kochała??

Malarz nie myślał podobno o tem, aby ją uczynić świętą, ale chciał i zrobił ją piękną. Król się kochał w tej piękności. Magdalena mu towarzyszyła wszędzie i teraz na wygnaniu. Powracać z nim mia-



ła do Drezna. Król patrzył na to arcydzieło, jak gdyby z niem rozmawiał—i zadumany milczał.

Był to ten sam August, którego postawa, twarz wdzięczne ruchy młodzieńcze powszechną budziły dla niego sympatię na dworze Ludwika XIV, ten sam, którym zachwycali się arcyksiężniczki austryjackie,— który gdy chciał pozyskiwał sobie serca mężkie i niewieście, ale ostatnich nie dopuszczał do siebie, by mu spokoju drogiego nie zamąciły.

Przestrzegała go ojeowska przeszłość i skarb wywieziony na Cosel, na X. Cieszyńską, Denhoffową, Königsmark i tyle innych — przestrzegał ojciec Guarini, pilnował zazdrosny Brühl — zasłaniała pobożna Królowa Józefa. I August III nie śmiał znać płochych kobiet.

A pomimo to piękny ów Król, dziś bardzo się zmienił, nie podobnym był do siebie. Siedmioletniej wojny nie brał zbytnio do serca. Klęski nie dochodziły do niego.

Siedział spokojnie w Warszawie, gdy drudzy bili się za niego, połował, napawał muzyką — i — zastarzał od tej bawelny, w którą go Brühl obwijał tak starannie.

Oczy jego zgasłe nie miały blasku, usta blade uśmiechać się oduczyły prawie, policzki były nabrzękle i obwisłe, powieki jakby napuchłe, całe ciało ociężałe zdawało się obsuwać i opadać ku ziemi.

Często usypiał siedząc, a ziewał, nawet gdy Faustyna śpiewała — i czoło dawniej wygładzone marszczyło się i fałdowało jak u prostego biedaka.

Z po za uśmiechu, który nałogowo się zjawiał na jego twarzy i ustach, wyglądał strach jakiś i okrutna tęsknica, której nie nakarmić nie mogło.

Spoglądał z obawą nawet na Brühla, którego kochał i bez którego żyć by nie mógł.

Wyjazd był postanowiony, w Dreźnie oczekiwano, ale jak tu było tę Polską Rzeczpospolitą rozkołysa-

na, swawolną, porzucić na łaskę i niełaskę Czartoryskich i Radziwiłłów.

Nie można było zaręczyć wszakże, czy Król myślał o przyszłym Trybunale, który się tak burzliwym obiecywał jak był Wileński, czy o chybionym strzale do sarny, czy o operze, którą dla niego w Dreźnie, na nowym teatrze, obiecywano.

Miałab to być Semiramis czy Artemiza?

Wsparty na ręku głęboko się zaciekał co to problemą?! z którego rozwiązania czyniono mu niespodziankę.

U progu stał Brühl — ale to był też cień tego Brühla, który w przededniu wojny świeży, wesół, rumiany, pachnący — przynosił Augustowi na twarzy i w ustach zapewnienie szczęśliwego i swobodnego panowania!

Znękał go pogroźkami Fryderyk, zmęczyli uporem polacy — zabrali mu żywot Czartoryscy — potwarzą, oczernił Branicki Hetman.

A w Saksonii nie wszystkich swych wrogów mógł osadzić na Königssteinie!!

Był melancholicznie smutny — i jemu przeczucie zabijało oddech, ale przed Królem nawykł był wszystko malować różowo.

Zwolna August III zwrócił ku niemu oblicze, i wzrokiem zdał się prosić aby go pocieszył.

— Brühl? co ty mówisz? co myślisz? Gdy my dwaj tę nieszczęśliwą Rzeczpospolitą porzucimy, opuścim — oni się tu pozajadają!!

Minister pomilczał trochę.

N. Panie — odezwał się cicho, bo wiedział, że i jego ktoś mógł podsłuchiwać — gdyby ich się trochę pozjadało, przerzedziło, szczególnie burzliwych, sędzę, żebyśmy na tem nic wiele stracili.

Uśmiechnął się Król i pogroził.

— Czartoryscy szczególnie, dodał Brühl, niezmierną butą gorszą i niepokoją. Gdyby im rogów przytarto, lżejby wszystkim było.

— A któż to potrafi, przerwał August, jeżeli prawdą jest, że na Cesarzowej czynną pomoc liczą?

— Chwała się nią, ale Cesarzowa—dodał Brühl—nie będzie śmiała wkroczyć bez przyczyny, -- a nie jest Wam N. Panie — niechętną?

— Mamy przeciwko nim księcia Miecznika, raczej Wojewodę Wileńskiego, poprawił się Król—to zuch, nieulekniony.

— Aż do szaleństwa śmiały — rzekł minister — to prawda, też na Litwie mąci i ów tak że na niego wszyscy się uskarżają.

— Ja go bardzo lubię -- Panie Kochanku — zaśmiał się August III.

— Litwa za niego dałaby życie.

— Poi ją całą — rzekł Brühl, i wino daje dobre?

— A jak strzela i na niedźwiedzia idzie z oszczędem! wykrzyknął król, pójdzie i na Czartoryskich...

— Pokaże się to na Wileńskim Trybunale, bo tam się oni zetknąć muszą...

— A biskup Massalski oleju do ognia doleje, — szepnął August.

— Mnie się zdaje, że ich samych sobie zostawić potrzeba — odparł minister.

Król pomyślał trochę.

— Domagają się Senatorowie, abym posłał od siebie pośrednika co by ich jednał.

— A któż podejmie się tego? — zapytał Brühl. — Między dwu takich zapaśników słabemu iść — zgno-tą go.

Król spojrział na niego szukając rady.

— Hm? mruknął.

— Biskup Kamieniecki wprowadzie się stręczy—dodał Brühl.

Na wspomnienie Krasińskiego, czoło króla powlokło się chmurką, nie odpowiedział nic.

— Wiesz — zaczął odpocząwszy, zmieniając nieco kierunek. — Com ja nie czynił, dla pojednania was wszystkich! Czartoryscy i ciebie prześladują.

— Tchnąć mi nie dają, ale przy Twojej opiece N. Panie, nic mi zrobić nie mogą, błotem tylko ciśkają na mnie, a ich płatni pisarkowie, paszkwilami mnie ścigają.

— Wiem, wiem — przerwał król — każ je katowi palić na rynku pozwalamy Ci! Niewdzięczni są.

— O ten trybunał, ten trybunał się nie obejdzie bez krwi przelewu — dolożył Brühl, który się rozgrzewał.

Nagle August III spuścił głowę.

— Posłałeś do Drezna? spytał.

— Posyłam codzień — zawołał minister.

— Teatr gotów będzie.

— Dniem i nocą go kończą.—Zapewnił Brühl.

— Galerję przewieźli z Königsteinu?

— Cała już jest w Dreźnie—zapewnił minister.—

Madonna na swem miejscu.

Król słuchając złożył ręce.

— Kiedy ja nareszeie, stęskniony to arcydzieło boskiego mistrza zobaczę — zawołał głosem rzewnym. — Śniła mi się nieraz w jasności niebieskiej nademną. Czułem ją, a oczów podnieść nie śmiałem. Aniołowie ręką jego prowadzili, gdy ją malował.

Głos mu drżał gdy to mówił, i zniżywszy go jakąś myślą wstrzymany zamilkł. Zdało mu się, że Brühl, który miał też galerję—mógł być zazdrosnym. Chciał wiernego pocieszyć sługę.

— Ale i ty mój pocziwy Brühl — rzekł — masz obrazy bardzo piękne, i tobie nic z nich spodziewam się nie zginęło.

— Nic — odparł minister.

— Ten Dietrich — rozśmiał się August weselej—choć cudownie malpuje mistrzów, ale na Rafaela się nie porywa, toby było świętokradztwo!!!

— Dietrich przecież jest niepospolitym malarzem—odważył się dodać Brühl.

— Ja go też cenię!—rzekł król—ho! ho! ale niech hollendrów się trzyma...

I znowu na wyjazd króla przeszła rozmowa.

— Warszawy żałować nie będziemy, ani stękać po niej — mówił minister.

— Lasów i Saksonja już mniejszych niema—rzekł August.

— A nasze buki N. Panie.

— A ich dęby? — odparł król.

Stojący za drzwiami sądzić mogli, że tu o największych polityki europejskich zagadnieniach mowa była i narada, bo nie wiedział może nikt, w jak malej dozie August III znosił poważne sprawy.

Do nich przecież służył mu ten Brühl.

On odpędzał od siebie te czeze troski, które dziś pozbyte, jutro powracały. Dla niego one nie miały wagi. On z łaski Bożej wyznaczony był, aby dwa państwa starały się go uczynić szczęśliwym za to, że je wspaniale, majestatycznie reprezentował.

Bolała go strata prowincyj, zwycięstwa prusaka, lecz czemuż to było? Chwilową fanaberją losu... który nieochybnie powiać miał wkrótce dynastją Saską.

Po co miał mówić o tem, co go gryzło i męczyło.

Brühl widocznie miał na dnie coś, czego wydobyć brakło mu odwagi.

— N. Panie—odezwał się przystępując bliżej stolika—nie chciałbym trudzić W. K. Mości, ale dla zapobieżenia aby się to nie odnowiło... chciałbym wiedzieć... jakim sposobem podpisy uzyskano dwa na Starostwo Radoszkowskie? O jeden z nich jam prosił W. K. Mości...

— No i podpisałem go—zawołał król.

— Tak, ale się znalazł i drugi również podpisany—rzekł minister.

— Ja nic nie wiem o tym drugim — odparł król poważniejąc — nic a nic.

— Podpis nie ulega wątpliwości—potwierdził Brühl.

Zamyślił się król.

— Ty wiesz jak ja je podpisuję — rzekł naiwnie. Przynosisz mi je, składają się oto tu, na stole, ja zrana biorę się do tej nieznośnej mi pańszczyzny. Czasem pięćdziesiąt razy każesz mi się podpisywać.

— Są to nieodstępne od panowania troski—wtrącił Brühl z uzaleniem.

— Obowiązkil obowiązkil — dodał August serjo.— Po śniadaniu mojem, siadam i z kolei kładę na każdym arkuszu imię swoje. Nie czytam ich, nie patrzę, bo ufam tobie, mógłbym na siebie wyrok podpisać—wierz mi.

Brühl się w piersi uderzył.

— Na mnie W. K. Mość, na starego sługę swojego spuścić się możesz bezpiecznie.

— I spuszczam—dodał August.—Któż to wie, jak się dostał na stół ten przywilej.

— N. Panie—zniżając głos rzekł minister—ludzie obwiniają o to Beringal!

— Ale on też jest moim starym, wiernym sługą!—przerwał król zapominając się, że na równi go nawet stawił z Brühlem i mógł obrazić. W tejże chwili obawa go przejęła i podniósł się biorąc ministra w swoje objęcia — Brühl, rozstrzygnij to jak chcesz, na ciebie to zdaje.

Minister ruszył ramionami.

— Książę Kanclerz zapieczętuje oba — dodał żywo — nie ulega wątpliwości, aby mnie przysporzył kłopotu i Wam N. Panie, a dwu starostw radoszkowskich niema.

— Wpiszcie mu inne! — odparł król.

— Kanclerz wyśmiewa się już—szepnął Brühl.

— O niegodziwy! niemiłosierny!—zajęczał August. To mnie tylko pociesza, że Wojewoda Wileński pomości się za mnie.

Brühl jakby nie bardzo temu ufał, zamilknął. Wniesiono uroczyście światło. Król nieco oczy przysłonił sobie i milezał.



— Tokarnię—rzekł—wyprawić do Drezna, jam do tej przywykł już. Chociaż nie wiem czy toczyć będzie... nogi mi puchną.

— To przejdzie — odparł Brühl — a tokarnia nas uprzędzi.

— Myślistwo wypraw całe, pocoby ono tu zostawać miało — dodał tęskno. — Ja nie wiem czy tu kiedy powrócę. Sejmy mi zrywali wszystkie. Może gdzieindziej szczęśliwszy będę z niemi. Zwolywać je będziemy do Wschowy do...

Zamyślił się król.

— Gdyby nie prusacy — przerwał Brühl — byliśmy się postarali o to, aby je zwolywać bodaj do Drezna. Wszystko byłoby przygotowanem do *coup d'état*. Dziś się obawiam, aby nie było zapóźno, rozsuchwała się szlachta.

— A krzykliwi — wtrącił August — i głosy mają tak dysharmonijne, każdy z innego tonu.

— A im z nich kto otylszy, tem cieńszym śpiewa dyszkantem—rzekł Brühl.

— Masz słuszość! masz słuszość — począł August III uradowany tem spostrzeżeniem. — Wszyscy niemal mają głosy Parqualliniego.

Palec przyłożył do ust, roześmieli się oba. Lecz już go rozmowa z Brühlem znużyła, wyciągnął się na krzesło i poziewać zaczął. Spojrzał na zegar, który wieczorną wybijał godzinę... rozjaśniło mu się oblicze. Potem już tylko pozostawały z kapelanem modlitwy i błogi spoczynek! A we śnie mogło przyjść widzenie Drezna... i odnowionego teatru, świecącego od barw jaskrawych i złota...

Brühl zabierał się odejść, ale go powstrzymał przy sobie. Tajemnicze jakieś miał życzenie, które choć sami byli, cichuteńko mu szeptał długo do ucha. Uspakajał go minister. Drzwi otworzono do jadalni... i Brühl zaproszony, pociągnięty musiał iść za Panem, aby patrzeć jak łapezywie — z chci-

wością apetyt żarłoczny nasycił. Pod koniec zapomniał nawet o ministrze, który się wysunął po cichu.

---

z Zkąd pochodził właściwie Pan Klemens Tołoczko, niegdy porucznik, potem Rotmistrz Janczarów, nareszcie Buńczuczny hetmana polnego litewskiego Sapiehy, podstarości grodzki wołkowyski? Czy zabłądził od Smoleńska do Wołkowyska, czy z Wołkowyskiego w Smoleńskie, zdania były podzielone.

To pewna, że począł z małego i że nie miał tak jak nie, gdy go pan Piotr Zawadzki, przyjaciel jego polecił Hetmanowi Wiśniowieckiemu i wziął pod swe Rotmistrzostwo do Janczarów, naprzód go krenjąc Porucznikiem.

I tak się jakoś dobrze akomodować umiał panu Piotrowi Zawadzkiemu, póki on żył, księciu hetmanowi, dopóki go stało, że się do Rotmistrzostwa dobil... Potem już rósł o własnych siłach. Mężczyzna był urodziwy, jak na Janczara przystało, zbudowany krzepko, silny, a gdy swój strój janczarski włożył i wymuskał się, oczy wszystkich kobiet za nim biegały. Pięknym tak bardzo nie był, ale miał coś w twarzy i postawie pociągającego, a z ludźmi się umiał obchodzić, iż się zbytnio nie uniżając przed nimi, zyskiwał ich sobie. Wszysecy mu tę sprawiedliwość oddawali, że w towarzystwie wesołem nie było człowieka nad niego.

Do zwady nigdy nie dawał okazji, owszem nie jedną załagodził i do kieraszowania się nie dopuścił, ale mu na mężtwie nie zbywało. Przytem i głowę miał tęgą co się zowie, bo prawnikiem nie będąc,



w interesie bodaj najzawilszym zawsze sobie radę dał, niepotrzebując jej szukać u drugich.

Pięknej prezencji swej winien był zapewne, iż hożą i majątną, bo prócz posagu, wiosek parę dobrych miała po rodzicach, pannę Kollatajównę Chorażankę Wołkowyską zaślubił. Żyli z sobą szczęśliwie, ale krótko, bo żona mu na przeżycie się z nim opisawszy, wprędce zapisy zostawiwszy zmarła. Został tedy posesionatus już wołkowyskim, a tu jak się prędko umiał wcielić w obywatelstwo i stać ulubieńcem szlachty... dziwnemby się zdało, gdyby nie osobliwe przymioty, jakimi go Bóg obdarzył.

Rósł w oczach. Wczoraj niemal jeszcze nie znany, nie popierany, sam jak palec, ani się obejrzeli jak im stał się wszystkim potrzebnym, że bez niego było ani stąpić.

Prócz żony swej Kollatajówny koligacye i pozawiazywane stesunki, związał się z braćmi szlachtą takim węzłem, jakby z jednego z nimi wyszedł gniazda.

Innemu tak jak na drożdżach nagle wyrastającemu zazdrościliby drudzy, a szukali w nim czemby go zmniejszyć mogli, ten, że dumnym wcale nie był, każdego poszanował, nie uchybił nikomu, więc mu się wszyscy ustępowali.

Nie było w powiecie człowieka, coby go nie znał nie bywał u niego, nie zapraszał do siebie, a nie cieszył się gdy go miał. Nosili go na rękach.

Rotmistrzowską kopertą zdawał się być zaspokojony, iż się o inny tytuł nie starał, choć człowiek w sile wieku i właśnie w tej porze życia, gdy ambicja ludzi popycha; nie dobijał się do żadnych funkcij publicznych. W domu u niego też było czysto, dostatnio, pięknie, dla gości zawsze drzwi i serce otwarte, ale skromnie i po szlachecku.

Jednego mu brakło — to urodziwej i milej jak i sam — gospodyni, której mu życzili wszyscy. Mawiał w początku jakoby z żalu po chorażance

nigdy się żenić nie miał, potem gdy nań nalegano, że gotówby, ale mu się nie wiedzie i szczęścia nie ma.

W samej rzeczy nadchodził dla niego wiek, kiedy pospolicie ludzie żenią, a nie człek sam siebie. Szukali wszyscy żony dla Tołoczki. A nie mogło być inaczej, gdyż Sapieha, hetman polny litewski, raz wraz się nim posługiwał; więcej zaś może sama paui hetmanowa, która mężem rządziła, domem i ludźmi trzęsła, bo była kobieta do tego stworzona.

Znała ją Korona cała, gdy jeszcze za pierwszym była mężem—Lubomirskim. Liezono ją do najpiękniejszych niewiast swojego czasu, gdy na nich nie zbywało na wielkim świecie.

Ta piękność jej przyjaciół i niechętnych, zwłaszcza między współzawodniczkami przymnożyła. Umiała się też nią posługiwać, tak, że kogo sobie zjeść chciała, pewnie się jej oprzeć nie mógł i czyniła potem z nim co się jej podobało. Zdolną była i śmiałą na podziw, ze złośliwych ludzkich języków wiele nic nie czyniąc sobie.

Po śmierci pierwszego męża Lubomirskiego, nie dla niej łatwiejszem nie było, jak się wyswatać raz drugi.

Młodziutką ją tedy odumark; piękna jak anioł, majątna, mogła wybierać między pretendentami. Z niemałym podziwieniem ludzi naówczas, padł jej wybór na Sapiehę.

Nie mu zarzucić nie było można, okrom tego, że na męczyznę za miękki był i powodować sobą dawał łatwo. Lecz właśnie to może dla jejmości było najpożądane.

Więc wydawszy się za Sapiehę Aleksandra, Wojewodę Połockiego, zaraz umysłem jego, równie jak sercem o władnąwszy—już nad nim panowała.

Nim do tego zaś przyszło, mówiono, że i młody Brühl, generał artylerji i Stolnik litewski, urodzony z Czartoryskiej, głowy dla niej potracili.

A komu ona raz zawróciła głowę, ten się nie łatwo wyzwolił i wytrzeźwił.

Wraz z mężem swym, albo raczej zastępując go, jęła się jejmość czynne prowadzić życie, nie dając spoczynku, dużo powolniejszemu księciu.

A czem naówczas było życie takiego pana, wysokie dostojęństwo piastującego, skolligaconego z możnemi rody, które rej wodziły w Rzeczpospolitej, tego opowiedzieć trudno. O spoczynku tam myśleć nie było co. Samemi zabawami na śmierć się było można zameęczyć, gdyby oni do nich od młodości nie nawykli.

Nie miał taki pan wytechnienia ani na chwilę. Wybierano ich do Trybunałów, na sejmy, na sejmi-ki, do komisji, do sądów polubownych. Mało który wielkiego procesu nie miał, odziedziczonych po rodzicach. W sporach też familijnych od stawienia się, pomagania wymówić się nie było podobna.

Ledwie z Warszawy przybywszy, konie wyprężono, musiano je już do Lublina, Piotrkowa, Wilna lub Nowogródka zaprzęgać. Toż wesela, pogrzeby i tysiączne okazje wyciągały z domu.

Takim właśnie życiem przyszło żyć księżnie hetmanowej, która najczęściej z mężem rezydowała na zamku w Wysokiem.

Z nią tu jeszcze ruchu i wrzawy przybyło, bo i wdzięki księżnej ściągaly i ona rada była, gdy się koło niej gromadzano i gdy mogła potem przez swoje intrygi różne zawiązywać, a nieustannie coś marzyć, coś robić lub odrabiać.

Rotmistrza Tołoczkę poznawszy, że niezmiernie usłużny był i baczny, a hetmanowi oddany, pochwyciła go pod swoją komendę i już z niej nie wypuściła.

Następowało właśnie w tym roku fundowanie Trybunału Wileńskiego, na które Czartoryscy ze swej strony, Radziwiłł Wojewoda Wileński ze swej z ogromnemi siłami i wysiłkiem się przygotowywali; więc

jakże by hetman polny i hetmanowa mieli na stronie neutralnymi pozostać?

Król wszelkimi możliwymi sposobami pragnął gorzącemu konfliktowi dwóch stronnictw zapobiedz. Słał z pośrednictwem do układów Krasińskiego biskupa Kamienieckiego i Brzozowskiego kasztelana Połockiego.

Co żyło też na Litwie, zbierało się albo Czartoryskich popierać, lub z Radziwiłłem trzymając z nim ciągnąć.

Po której stronie Sapieha hetman być miał, niby to wątpliwości ulegało. Wypadało mu z Radziwiłłem stanąć, chociaż z sobą nie bardzo sympatyzowali, szczególnież księżna, której się grubiaństwo księcia wojewody nie podobało.

Ufając w protekcję króla, który namiętnych myśliwych i pańskiego animuszu Radziwiłłów lubił bardzo, rodzina książęca, do panowania na Litwie nawykła, nie znosiła tu nikogo na równi. Czartoryscy zaś ufni w przyrzeczoną pomoc... czuli się silniejszymi nad Radziwiłłów wszystkich z księciem wojewodą Panie Kochanku na czele.

Książę kanclerz z pogardą odzywał się o księciu Karolu i jego „Pandzie.“ Z obu stron przyjaciele nosili odgróзки, ostre słowa i wyzywania.

Sapieha i żona jego nie byli dobrze z księciem wojewodą, który jej samej nie lubił i grubiańsko to czuć dawał. Z Czartoryskimi nie bardzo wiązać się też chciało, hetmanowa radziła mężowi stać na stronie, czekać ewentów i z nich korzystać.

Oboje wybierali się do Wilna, chociaż, aby na fundowanie tego trybunału ruszyć z dobrej woli, na to potrzeba było niepospolitej determinacyi.

Ale któż jej ma więcej nad kobietę, której wszyscy służą na klęczkach??

Książę hetman starych sług, przyjaciół rezydentów z dodatkiem nowych i tych, których mu żona przy-

niosła z sobą, miał siła, a pomimo to księżna Magdalena strwożyła się, że ludzi nie miała.

Często do Wysokiego, do księcia zaglądający Tołoczko zdał się bardzo zręcznym i mogącym się przydać, szczególnie teraz w Wilnie. Szło o to, czy pan Rotmistrz zechce się zaprządz w służbę hetmanowej, która znaną z tego była, że obrożę kładła i obchodziła się despotycznie.

Przywabić pana Klemensa, zmusić do przebywania więcej w Wysokiem niż w domu, hetmanowej zdało się łatwą sprawą, bo dotąd co postanowiła kiedy, to się jej udawało zawsze. Tołoczko został zawojowanym łatwo, a za przyszłość otwierały mu się horyzonty szerokie i jasne.

Na taką fundacyę Trybunału jechać nie było rzeczą dla chudego pacholka pożądaną. Nie lieząc tego, że bardzo łatwo można było guza oberwać... koszt same odstraszały. Miasto pod tę porę, nie wyjmując klasztorów, dworki mieszczan, aż do chałup, wszystko było zapchane, drogo płacone, niedostępne. Siano i owies, kto go sobie dostawić nie mógł, kosztowały summy neapolitańskie. Tołoczko więc ani się myślał wybierać do Wilna, w głowie mu to nie powstało.

Ale księżna postanowiła, że przy niej jechać musi i rozpoczęła manewrować, aby go skłonić ku temu. Rotmistrz wcale o tem nie wiedział. Trzeba go było czemś kupić.

Jednego dnia po obiedzie, księżna zarumieniona swoim zwyczajem leżała na wpół na kanapce bawiąc się z ulubioną psiną, wabiącą się Zefir, choć dla sadła ledwie się poruszała.

Tołoczko siedział opodal nieco.

Hetman w wygodnym fotelu zabierał się do poobiedniej drzemki. Odbywał on ją publicznie, wśród gwaru rozmów, śmiechów, chodzenia, co mu nie przeszkadzało spać tak głęboko, że go czasem waląc z moździerzy nie można przebudzić było.



Księżna raz i drugi zagadnęła Tołoczkę, a że gwar był ciągły, ledwie dosłyszał i mógł odpowiedzieć.

— Przybliż się trochę Rotmistrz...

Posłuszny podsunął się pan Klemens.

W tej porze życia, choć nie młody i nie elegant, Tołoczko jeszcze bardzo świeżo i dobrze wyglądał.

— Czemu się waćpan nie żenisz? — wystrzeliła księżna Magdalena jakby z pistoletu do niego.

Zmieszał się rotmistrz zrazu.

— Byłem żonaty, mościa księżno—rzekł—straciłem wierną towarzyszkę w mojej Helusi, postanowiłem ślubów nie ponawiać.

Rozśmiała się hetmanowa.

— Dałbyś waćpan pokój temu romansowi zagrobowemu — odezwała się — należy się ożenić, boć to prawo Boże, aby się człowiek nie marnował.

Tołoczko na to zeicha.

— Choćbym może i rad, nie łatwa to sprawa. Za wdowca nie chętnie idą panny, a ja bym z wdową się żenić nie chciał. Przytem jeździć, szukać, w konkury się puszczać, to nie moja rzecz, a panny mi nikt do domu nie przywiezie.

— Jak to znąć, że nie masz przyjaciółki—odparła księżna—dawnoby cię ożeniła.

— Ale ja mościa księżno, trudny jestem — rzekł Tołoczko.

— Czegoż wymagasz po swej przyszłej? — pytała hetmanowa.

— Rozumie się — począł rotmistrz — piękną musi być i mnie się podobać.

— Tak, to się rozumie, ale sędzę, że nadto wybrednym nie będziesz—dodała hetmanowa.

— Zbytniej młodości nie życzę sobie—ciągnął dalej—ale i zwiędłego panieństwa nie chcę.

— Dojrzałą dziewicę—rozśmiała się księżna—No, zapewne i posażną.

— O to się ja targować nie będę — rzekł Toło-

czko—będzie miała co pod poduszką, tem lepiej, a nie, nie odstręczy mnie to.

— No i rodzina dobra—pytała księżna.

— Juści z dobrego domu szlacheckiego musiałyby być—rzekł rotmistrz.—Do pańskich progów nie posunę się, ale krew dobra u mnie znaczy wiele.

— No, a charakter i temperament?—Dodała Sapięzyna w końcu.

— Mościa księżno — zawołał Tołoczko—a któż to się pochlubić może, iż charakter niewieści odgadnie, albo przeczuje? Na to potrzeba błogosławieństwa Bożego, aby nie wpaść w paszczę.

Westchnął.

— Dla tego—dokończył—przy tylu trudnościach, anim marzył o ożenku.

Pogładził się po łysinie, która już przeświecała mu z wierzchu głowy, choć bujne włosy dokoła ją otaczały.

Księżna długo się wpatrywała w niego.

— Wiesz co, rotmistrzu—rzekła—zróbmy z sobą umowę, choćby pod zakładem, waćpan będziesz nam jako przyjaciel, towarzyszył na Trybunał do Wilna, a ja za to, żem mu słodki przerwała spoczynek, obowiązuję się znaleźć ci żonę, która wszystkim twoim odpowie warunkom.

Tołoczko chciał to w żart obrócić.

— Rączki całuję W. Księżęcej Mości — odezwał się—ale nie śmiałybym takiego kłopotu narzucić, gdy ich jest i bez tego dosyć. Myślę zostać Maltańskim Kawalerem.

— Ja na to nie pozwalam — przerwała hetmanowa.—Veto! No, przybijmy targ.

Stojący blisko Sawicki, wojski ludzki, obrócił się do Tołoczki.

— Waćpan byś księżnie jejmości na kolanach powinien dziękować, a to się jeszcze drożysz. Z tak pięknych rąk na ślepo żonkę można brać.

— Mościa księżno—wtrącił rotmistrz—boję się na-

wet z łaskawych rąk jej brać żonę. Za starym się czuję, ale gotówem i bez żadnej remuneracyi jechać na Trybunał, byleby mnie państwo kazali, a jam się tam przydał na co.

— O! bardzo! bardzo! bardzo!—wtrąciła wojewodzina — już tylko jedź, reszta się znajdzie. Pojedziesz?

— Jam sługą W. Księżęcej Mości — odparł Tołoczko.

Księżna mu rękę wyciągnęła uśmiechając się, przyszedł ją pocałować i tego dnia na tem się skończyło.

Przyjaciele Tołoczki śmieli się z niego, gdyż on uparcie utrzymywał, że się nie da ożenić.

Całą tę poobiednią rozmowę żartobliwą, brał za prostą zabawkę księżnej, która rozmaitemi facecjami niekiedy się lubiła rozrywać.

Tymczasem nazajutrz zaraz usłyszał w rozmowie, iż księżna Magdalena już na jego podróż rachowała i pokilkakroć powtórzyła.

— Gdyś mi pan rotmistrz przyrzekł, słowa dotrzymasz.

Nie było już co wątpić, musiał być posłusznym, bo hetmanową sobie narazić, stokroć gorzej znaczyło, niż hetmana. O ile dla przyjaciół była wyłaną, tak dla tych, do których ząb miała, straszniejszego nad nią nie było wroga.

Nie przebierała wówczas w środkach, gdy się pomścić i moc swą chciała dać poczuć.

Zakłopotał się mocno Tołoczko, nie dając tego poznać po sobie. Naprzód, wydatek był znaczny, którego nawet obrachować nie mógł z góry, powtóre czasu stracić dość musiał, sędziom się narazić, a co go czekało w Wilnie, tego żadna ludzka moc przewidzieć nie mogła.

Jeżeli kiedy fundowanie Trybunału obiecywało się jako walna bitwa, to teraz, gdy dwa najmożliwsze rody w Księstwie, o nie walczyć miały. Wojsko



Radziwiłłowskie, litewskie pułki hetmana, tandem nawet Imperatorowej, na granicy stojące siły do Wilna pościagać miały.

Rozporządzenia wojenne, jak przed rozprawą krwawą, już się gotowały. Mówiono kto i gdzie ma zająć stanowisko, a ewentualność bitwy, przewidywali wszyscy. Miał książę hetman ludzi kilka tysięcy gotowych Czartoryscy się nie swoją milicją, bo ta się i Fleminga do niej włączywszy, nie równała Radziwiłłowskiej, ale cesarzowej nagotowaną siłę obudzili.

W Warszawie co już o tem na dworze królewskim głoszone i rozpowiadano, strach słuchać było.

Hetman Sapieha z żoną zawczasu chciał przybyć, ciesząc się jakąś nadzieją, że może chlubną rolę pośrednika lepiej odegrać od księdza biskupa Kamienieckiego.

Tchórzliwsze umysły zaklinały, aby niedopuszczając do konfliktu, pojednanie jakieś wyłatać, ale kto znał księcia kanclerza, grafa Brühla, a nadewszystko księcia wojewodę, ten mało w zgodę wierzył.

Zawczasu w Wilnie postrach panował jakby przed najściem nieprzyjaciela, a jak byli tacy co na ogień lecieli, to drudzy od niego uciekali. Tyle tylko, że Kamieńca nie fortyfikowano, ale nie wiele do tego brakło.

Księdzu biskupowi Kamienieckiemu, któremu król polecił medjacye, kasztelanowi Brzostowskiemu, choć pierwszy szczególnie był zdolności wielkich i zbiegliwy a zręczny, nikt nie ufał, aby mogli co sprawić. Po księciu wojewodzie wileńskim, pasje grały, że go żaden rozum nie mógł powstrzymać.

Przyjaciele jego na humor pili i słuchać nie chcieli.

Postanowiono było z wojskiem cesarzowej zetknięcia się unikać, nawet je uchodzące po dobrach Radziwiłłowskich żywić i dawać im prowianty, ale Czartoryskim i ich partyzantom stawić czoło.

Dolewał do ognia oliwy książdz Biskup Wileński, książę Massalski, który w duchowieństwie polskim,

jak ludzie zapamiętali, podobnego nie miał i naśladowców dzięki Bogu, nie znalazł.

Dumą kniaziów Massalskich zwali wszyscy, która tem mniej uderzała, że państwo te ich łączyło się z powikłanemi interesami, brakiem pieniędzy i chwytaniami ich gdzie i jak się nadarzyło!

Oprócz tej pychy i lekceważenia ludzi, ksiądz Biskup miał temperament, obyczaje, sposób życia, który więcej przystał rozpuszczonemu wojakowi, niż pastierzowi owczarni i ojcu duchownemu.

Przepisów kościoła nie zachowywał wcale, ani sukni duchownej nie będąc wiernym, ani ślubom kapłańskim. Nosił się najczęściej po cywilnemu, francuzką modą, przy szpadzie chodząc, jako szef pułku swojego imienia.

We dnie zabawiał się jak najswobodniejszym trybem życia, używając pomiędzy rogówkami i robronami, a po całych nocach widywano go za zielonym stołem szaloną grę prowadzącego. Swoje i cudze, kapitulne i biskupie sumy, gdy w ręce jego popadły, nie były poszanowane. Frymarczył dobrami nie pytając, a w postępowaniu jego samowola nie znała hamulca.

Gwałtowny, namiętny, z kolei galant i grubianin, niczem się wstrzymać nie dawał, a że mu pomocnicy potrzebni byli, takimi się jak sam otaczał. Duchowieństwo zacne i świątobliwe, truchlało ze sromu i grozy. Lecz najpoważniejszym ludziom, gdy się mu ważyli czynić demonstracye odpowiadał łajaniem, lub do szpady się porywał.

Złośliwy, dowcipny, cynik był poczwarnem zaprawdę zjawiskiem, nawet wśród tego świata, który się wiele surowością obyczajów nie odznaczał.

K-że Biskup Massalski z Radziwiłłami spokrewniony, ale na wojewodę zajadły do szaleństwa, całą potęgą duchowieństwa, które miał w rękę, występował przeciwko niemu. Mało sobie z tego czynił wpra-

wdzie Radziwiłł, ale inni się oglądali na kościół, na duchowieństwo i klątwy któremi grożono.

Rozdrażnienie pomiędzy księciem Wojewodą a księdzem Biskupem doszło było do tego stopnia, iż Radziwiłł po dziesięć razy w dzień powtarzał:

— Chce on być Stanisławem, to ja mu Bolesławem będę!

Massalski jako żywo męczennikiem być sobie nie życzył, ale ubezpieczony za murem i gwardyą swą przeciwko Księciu bluzgał najobrzydliwszemi, grubiańskimi pogróżkami.

Daleko jeszcze było do terminu fundowania Trybunału, Wilno już jakby w stanie oblężenia wyglądało.

Po ulicach dzień i noc, ciągnęły sznury wozów wyładowanych owocem, sianem, mąką, zapasami spiżarni i beczkami napojów. Niektóre wiozły sprzęty, broń, przybory domowe, namioty pod konwojem dworskich różnej broni żołnierzy, w barwach najosobliwszych.

Nie było dworku pokaźniejszego, kamienicy, szopy, gdzieby już ludzie lub konie nadciągające się nie rozkładały.

A że z obu stron nadebodziły siły sobie nieprzyjazne, a o miejsce było trudno, rodziły się z tego kłótnie, bójki i wśród wymysłów odzywały się strzały co chwila.

Przy pałacach, które Hetmanowie zajmować mieli, na Antokolu u Sapiehów, około kardynalii Radziwiłłów, strażę jaki taki porządek utrzymywały, ale po kątach, porządkował kto chciał i burzył kto mógł. Przez ulicę przeciągnąć było trudno jednym i drugim bez porywania się do siebie.

Z tego co się widywało w samem jądrze miasta, można wnosić, co się działo po za niem na przedmieściach i po obozowiskach, na juryzdyce Radziwiłłów Snipiszkach, na Antokolu, około biskupiej rezydencji.

Tu brama żadna w biały dzień się nie otwierała bez parlamentowania, a przybywający wykazywać się musiał kim był i z czem jechał.

Kościół nawet, do których przystępu Massalski Radziwiłłowski ludzom bronił, strzeżone były lub pozamykane.

Nie mniej zakonnicy, których stosunki dawne łączyły z rodzinami pańskimi, pod pozorem autonomii zakonnej, swobodniej sobie poczynaly, dając przytułek dobroczyńcom i przyjaciółom.

Tołoczkę pani hetmanowa wyprawiła na Antokol przodem, zleciwszy mu, ażeby zawczasu w położeniu się rozpatrzył i dla niej pozbierał wszystko co mogło je rozjaśnić.

Nie był rotmistrz obcym w Wilnie, znał je jak każdy Litwin, ale dawno tu nie bywał i krótko zawsze bawił, znalazł się więc jak w lesie. Tylko, że wszędzie sobie radzić umiał.

Z dawnych stosunków pozostały mu mnogie znajomości z Radziwiłłowskimi, którzy go za swojego uważali. Mało też kto z tamtejszych do Czartoryskich lub Fleminga się przyznawał, bo pierwsi nigdy o popularność nie starali i jej też nie mieli, a drugiego wysmiewano jako Niemca.

Chodziły o nim anegdotki, które go jako słabego umysłu i wcale kraju nieznającego malowały.

Radziwiłłowie zaś, choćby z nich który dokuczał szlachecowi, byli jako swoi uważani i mieli do nich ludzie sympatją wielką.

W ulicy na Antokol ciągnąc Tołoczko, który dla nogi obrażonej na wozie się włókł, spotkał się z jadącym konno, dawno sobie znajomym Derkaczem, który niegdy był jego sługą, a potem się dostał dla umiejętności wabienia i naśladowania wszelkich głosów zwierzęcych do łowiectwa Nieświeżskiego.

Tołoczko miał to szczęście, iż ludzie co z nim kiedy do czynienia mieli, pozostawali mu życzliwi i przyjaźni. Derkacz też obaczywszy go, przypadł po no-

gach niemal całować. Człek był nie młody, szpak, brzydki aż strach, ale zręczny, przemyślny jak mało kto.

— A ty tu co robisz? — spytał rotmistrz — juści w ulicy polowania nie wyprawiasz!

— Daj Boże aby go nie było i żebyśmy szlacheckiej zwierzyny nie bili — odparł Derkacz — ale kto dziś wie na co się zanosz. Mnie z ważnemi listami wyprawiono.

Nie mógł się w ulicy zatrzymywać Tołoczko, więc go z sobą do Antokolu pociągnął, rozpytując po drodze.

— Nie chciałbym ja być w skórze Czartoryskich, począł łowczy Radziwiłłowski. Co się tam stanie z Trybunałem, tego ja nie wiem i nie rozumiem, ale że na księcia kanclerza zasadzki wielkie, to pewna.

— Juści nie na osobę jego — rzekł Tołoczko — bo Radziwiłł obić na gościńcu obije, ale spiskować na życie, nie jego rzecz.

— Nie jego, a no przyjaciół kaptować trudno, a i wiedzieć nie sposób, co który czyni.

Mówili potem o różnych rzeczach, ale na Antokol przybywszy, gdzie już znalazł pomieszkanie dla siebie gotowe, rotmistrz wziął Derkacza na spytki.

— Coś mówił o kauclerzu? — zapytał — juści mu na życie nie godzą?

Derkacz się zmieszał.

— Nie będę prawil o tem czego dobrze nie wiem, a co mi zaś jednem uchem wlasło, drugim wyszło. To tylko pewna, że i życia może być nie pewien. Taka zajadłość na niego.

— Nie boi się on tego — rzekł Tołoczko. — Strachy na lachy, tem go książę nie strwoży. Ma i on siły, bodaj większe, niż księcia wojewody, bo mu idą w pomoc żołnierze Imperatorowej i pono są w drodze.

— Dla tego też się na niego odgrają — rzekł Derkacz.

— Gdzie o tem słyszał?

Zmieształ się łowczy.

— Ojczulku mój—rzekł—nie wyciągajcie ze mnie tego o czem ja był powinien zamilczeć—odparł Derkacz.—Może są to plotki, może czernidła.

— Ale kto? co?

Nagiony mocno Derkacz, który już za czapkę brał, cicho tylko się tłómaczył, że od dworu księcia z Mitawy, zawiało tą wiadomością, ale bójka być mogła. Więcej z niego nie dobył Toloczko.

— U nas się spodziewają — dodał po chwili — że hetman polny ludzi da, aby zwichrzeniu zapobiedz.

Wątpię bardzo—rzekł rotmistrz—bo tu dziś ślepa babka i nie wiedzieć komu pomagać. Czartoryscy królowi są przeciwni i na niego godzą, bo im już za długo panuje. Radziwiłł tylko o sobie i swojej krwi pamięta. Ani z jednym ani z drugim trzymać na zabój—nie można. Król wysłał od siebie rozjemców, a ci ich pewnie pogodzą.

— Co daj Boże, amen — skłaniając głowę dodał Derkacz — bo człowiek od rozumu odchodzi, patrząc na to co się dzieje.

To mówiąc łowczy, któremu badanie nie w smak było, pożegnał dawnego pana i zniknął.

Tak na samym wstępie Toloczko, jakby Opatrzność się nim opiekowała, dostawszy języka, nie miał już pokoju, dopóki nie wyjechał na miasto, aby się więcej dowiedzieć, nimby pani hetmanowa nadjechała.

Ale to o czem się od Derkacza dowiedział, co potem wieczorem od Brzostowskiego kasztelana, którego znał, udało mu się wyciągnąć i o czem powszechnie rozpowiadało wzajem się straszac Trybunałem, tak się z sobą kłóciło i pogodzić nie dawalo, że wszystko jedną baśnią mu się zdało.



W gabinecie ministra Brühla, pod wieczór, leżała na stole olbrzymia koperta, sznurkami i pieczęciami umocowana, które dopiero co porozrywano.

Wydobyte z nich różnych kształtów listy i papiery, w nieładzie zalegały biurko, a minister białą ręką przebierając w nich, szukać się zdawał czegoś o co mu szło najpilniej.

Skrzywicne pogardliwie usta, wzrok zmęczony i wystygły, postawa cała człowieka znudzonego, świadczyły, że odebrany depeszom nie wiele ufał i nie bardzo do nich chciał śpieszyć.

Niekiedy wzrok podnosił ku drzwiom, jakby kogoś oczekiwał. W chwili, gdy zniecierpliwienie dochodziło do najwyższego stopnia, drzwi się powoli uchylily i młody, bardzo przystojny, wielce arystokratycznej powierzchowności panicz, wsunął się do pokoju.

Strój jego prędzej do saskiego dworu króla, niż do polskiego dozwalał wpisać. Ubrany był francuzką modą, a nawet wielce wytworne suknie Brühla, nie gasiły elegancyi młodego pana, który z pełną uszanowania poufałością przybliżył się do stolika.

— Kochany—starosto—odezwał się minister, wskazując na biurko — proszę cię przybywasz od Wilna, miałeś zreczność nasłuchać się wszystkiego, co tam warczy i huczy przeciwko nam, uwolni mnie od czytania plotek, a powiedz prawdę. Jak stoją Czartoryscy.

— Podparci na pułkowniku Puczkowie, który im ma przybyć na pomoc.

— Sam jeden?

— Ale nie, z pułkiem — rzekł przybyły—choćbyś będzie on tylko pogroźką, bo bić się nie myślą i wojny nie wypowiedzą.

Brühl słuchał obojętnie.

— I ja tak sądzę—westchnął minister.—Czy myślisz, że się zleknie Radziwiłła?

— Nie—mówił dalej starosta—ale niewygodni są to śmiałkowie.

— Plan ich niedorzeczny, dziecinny—odparł Brühl, wzruszając ramionami.

— Nie sądzę — przerwał starosta, marszcząc piękne czoło.—Plany ich obmyślane są wybornie, idzie o to jak się wykonać dadzą. Idzie mu o zerwanie i niedopuszczenie ufundowania Trybunałów. Służyć to ma za pretekst później do zawiązania konfederacyi, przeciwko królowi, którego chcą detronizować.

— Jak im pilno—szepnął Brühl zimno.—Wszystko to mrzonki są próżne; konfederacya z pułkownikiem Puczkowem, kraj na nich oburzy. Po kraju macie i wywoływać burzę łatwo, z nieprzyjacielem się wiązać, krajowi chcieć prawa dyktować, zuchwała myśl i nie roztropna. Detronizacya!—powtórzył smutnie.—Nie wiedzą więc, że z króla inna ręka niż ich zdejmie z jego skroni koronę.

Starosta spojrzał niespokojny.

— N. Pan wyjeżdża do Drezna—zapytał.

— Jak tylko będzie mógł on i ja — dodał Brühl — Cesarzowa pozwoli się przejechać i zabawić pułkownikowi swemu, ale nic więcej; a tymczasem ktoś wie, co może spotkać kanclerza?

Uśmiechnął się.

— Cóż Aloë?—zapytał.

— To mi się zdaje niedorzecznością — rzekł starosta.

— Tak, ale rzeczy, które są niespodziewane, dziecinne, śmieszne najczęściej się udają dla tego, że nikt do nich przygotowanym nie jest—odparł Brühl.

-- Aloë—mówił dalej starosta—jest człowiekiem bardzo zdolnym, dał tego dowody, stojąc u boku księcia Karola w Mitawie. W tym go jednak nie poznaję.

— Możem źle słyszał?—wtrącił Brühl.

— Aloë, który zna obyczaje księcia kanclerza i sposób jego życia w Wolczynie, powiada, że bardzo by było łatwo zmusić go do odwołania wszystkiego, co doniósł Cesarzowej. Do tego dosyć było aby się



znalazł człowiek śmiały, któryby księciu w kancelaryi jego, gdzie najczęściej sam przesiaduje, przyłożył pistolet do piersi i przymusił go do podpisania listu przygotowanego.

— W tem nie ma sensu—rzekł Bühl po krótkim namyśle — ja to słyszałem inaczej. Możnaż przypuszczać, aby książę kanclerz u siebie w domu dał się zmusić do podpisu i żeby napastnikowi dał potem ujść spokojnie. Naostatek jaki ma walor wymuszone pismo? Wszystko to awanturnicze. Niepodobna mi przypuścić, ażeby faworyt kanclerza Małachowskiego, taką dawał radę, a poważni ludzie mogli ją wziąć na serjo.

Uśmiechnął się Bühl.

— Toż samo—dodał—w stosunku naszym do Rosyi. Wieleśmy jej winni od czasów nieboszczyka pana, któremu Piotr w pomoc przychodził zawsze, i terazniejsza Cesarzowa od tej tradycyi nie odstąpi. Pozwólmy się im ludzi, że dla Czartoryskich, Saskiej dynastyi odstąpi. Nie mogą się uskarżać na nas, byliśmy i jesteśmy powolni—świadczy Kurlandja. Król własny interes poświęcił polityce.

Starosta słuchał bawiąc się sznurkiem leżącym na stole, jak gdyby przedmiot rozmowy mało go obchodził. Bühl też, choć więcej się rozgniewał i poruszał, nie przywiązywał wagi do sprawy, o którą rozpytywał.

— Cóż Krasiński i Brzostowski robią?—rzekł po namyśle. — Biskup nam... to jest królowi obiecywał bardzo wiele.

— Mnie się zdaje—odparł starosta—że gdzie szło o traktowanie z panem wojewodą, inny wybór plenipotencyaryusza uczynić wypadło. Biskup Krasiński nie dotrzyma mu placu do kielicha, a traktowanie z nim na sucho się nie może ani poczynać, ani skończyć.

— Powinien mu być pomocą Massalski — wtrącił minister.

— Nie wiem, czy on zgody i porozumienia pragnie—odezwał się starosta—a gwałtownością nie ustępuje księciu wojewodzie.

Lekka oznaka zniecierpliwienia, dała się czuć staroście, gdy Brühl głos zabrał.

— Więc jakże sędzicie, że się to skończyć może—rzekł żywo. — Król wie żeście dziś przyjechać mieli, zechce z ust waszych posłyszeć co się tam dzieje, jest niespokojny. Trybunał ten zatruwa mu chwile, które myśmy mu powinni się starać osłodzić. Cóż powiecie przed N. Panem? Nie idzie tu wcale, aby się prawdy dowiedział, byłoby okrucieństwem mu ją wyjawić. Starosta musisz tak ułożyć relację, aby ona go pocieszyła i uspokoiła? Rozumiecie?

— Ale ja—odparł starosta, wysłuchawszy lekcji jaką mu dał minister—nie potrzebuję się żadnym fałszem posługiwać. Rzecz jest pewna, że Radziwiłł per fas lub per nefas z trybunałem się utrzyma, a Czartoryscy zostaną przy manifeście. Z jednej strony będą lamenta, o których Puczków doniesie N. Pani, z drugiej bałaśliwy tryumf... bo z taką determinacją szaloną jak księcia wojewody, musi się choć chwilowo utrzymać górą.

— Szalona pałka, książę wojewoda—odezwał się Brühl — byli ludzie, którzy sędzili, że wojewoda po grzebie miecznika, tymczasem cały duch i obyczaj miecznika przeszedł na wojewodę. Szczęściem mamy go przy sobie.

Brühl spojrzął na zegarek. Zciemniało się.

— Należałoby, abyś zaraz się stawił do króla — rzekł po namyśle.

— Gdzież króla mam szukać?—zapytał przybyły. Brühl zmarszczył się nieco.

— Jest na wieczornej strzelnicy — rzekł cicho — dokąd tylko poufałych się dopuszcza, ale wy idziecie ze mną.

— Na strzelnicy wieczornej? — powtórzył staro-

sta.— Brühl nie odpowiedział na pytanie, śpieszył się i wskazując drogę, poprowadził przybyłego.

Musieli wniknąć na wewnętrzny korytarz pałacowy, który właśnie oświecono i służba się po nim kręciła.

Zawrócili się razy kilka, przeszli pokoje puste, wszędzie pod nogami znajdując drogę kobiercami wysłaną. Naostatek ukazały się wschodki pod dachem, wspartym na słupkach. Był to rodzaj altany wychodzącej na tyły pałacu Saskiego i plac pusty.

Król August ze strzelbą w ręku siedział upatrując niecierpliwie jakiegoś zwierza, którego wśród miasta odgadnąć było trudno. Starosta patrzył ciekawie niemogąc zrozumieć. U podnóża altany, na piasku żółtym, w mroku wieczornym zarysowały się niewyraźnie kształty rosnącego konia, który leżał rościągnięty, bez życia.

Kruki, gałki i wrony unosiły się nad nim w powietrzu, zniżając niekiedy po nad zastawiony dla nich żer, a nieśmiejąc go dotknąć jeszcze. Nieco dalej przemykały się cienie wychudłych psów bezpańskich, na bezpłatną strawę.

Oczy króla skierowane ku nim były, strzelba drżała mu w ręku — najlżejszy szelest, który psy spłoszył—gniewał go widocznie.

Wejście też Brühla, którego kroki posłyszał, groźnym wyrazem twarzy przyjęte zostało, ale zaledwie mógł go rozpoznać, z pośpiechem wesółym zwrócił się do niego.

— Musisz mi dobrą przynosić wiadomość, kiedy tu przychodzisz — zawołał August — broni z rąk nie wypuszczając i wpatrując się zmrużonemi oczyma w starostę Platera, który siedł za ministrem.

— Ja sam nie przynoszę nic — odparł Brühl — przybierając ton mowy swobodny i wesół—ale o to jest starosta Plater, wprost przybywający z Wilna, który jako naoczny świadek przygotowań do fundowania trybunału, najlepiej ze wszystkiego sprawę zdać może.

Król z uśmiechniętem łagodnie obliczem, obrócił się do pokornie kłaniającego mu się starosty.

— Mów, proszę—odezwał się cicho.

Poznać było łatwo z postawy ruchów i wyrazu twarzy Augusta III, o ile wieczorny mrok czytać na niej pozwalał, że króla żywo obchodziła relacya o trybunale, który miał z ust Platera posłyszeć, lecz, nadto był namiętnym myśliwym, aby zupełnie o swem dzwaczem polowaniu, nawet dla trybunału, zapomnieć. Można powiedzieć, że z wielkim uszczerbkiem powagi królewskiej polowa Augusta słuchała Platera, a druga niespokojne rzuciła wejrzenia ku placowi, na zdechłego konia, i cienie psów, które się powoli, ostrożnie ku niemu zbliżały.

Jednem uchem chwycił opowiadanie, drugim krakania wron i biegania psów po pustym placu. I nie można było rozpoznać, co go w istocie obchodziło więcej, czy psy, na które czekał czy trybunał, o którego losie chciał się dowiedzieć.

— N. Panie—mówił Plater z uniżonością—wszystko zapowiada, że mimo pułkownika Puczkowa, którego sobie Czartoryscy uprosili u Imperatorowej, mimo zagrożenia interwencją rossyjską, Radziwiłł na swoim postawi. Ludzi ma dosyć, zajął pozycję mocną, a zastraszyć się nie da. Posiłkuje go z energią wielką książę biskup Massalski.

Słów tych domawiał Plater, gdy król, który dotąd go słuchał cierpliwie, ale psów z oka nie spuszczać, podbiegł na palcach, mimo ociężałości swej do galerijki okrytej kobiercem, która ganek otaczała, wymierzył szybko i strzelił.

Kłęb dymu na chwilę nie dał widzieć trafności strzału, ale król pamiętał psów liczbę, dwa tylko widać było uchodzące ze skomleniem, a pod galerią rozlegało się wycie bolesne, ranionego.

Twarz Augusta III i oczy wprzód przygasłe, za jaśniały radością tryumfu.

— Nie sądźcie—odezwał się do Brühla — żebym

ja go chciał zabić, a ranił tylko z przypadku. Chciałem go ranić i nogę mu utrać, okaże się iż spełniłem com zamierzał.

— Psów jest mało, potrzeba ich oszczędzać.

Plater epizodem tym dziwnie zmieszany milczał, niewiedząc co począć z sobą, królowi tymczasem czeladź jego myśliwska drugą strzelbę nabitą podała. Polowanie na psy głodne, nie było skończone.

— Mów starosto, dalej — rzekł August weselej — proszę, słucham. Zdaje mi się, że mówiłeś o Masalskim.

Król skrzywił się znacząco, dając się dorozumiewać, że nie bardzo go szacował, choć Radziwiłłowi pomoc dał.

— Tak jest — począł starosta — Książę biskup.

— Biskup i pułkownik — wtrącił żartobliwie Brühl — to mi się trafia rzadko, aby w jednej osobie dwa się takie *incompatibilia* łączyły.

— Książę biskup — ciągnął dalej starosta — trybunałowi pozamyka kościoły, nie pozwoli duchowieństwu słuchać deputatów przysięgi. Ludzi swych daje pod komendę wojewody.

— I nie iż do bitwy i krwi rozlewu nie przyjdzie? — wtrącił August III niespokojnie — nie przyjdzie?

— Czartoryscy nie będą mieli z czem przeciw prepotencyi księcia wojewody wystąpić. Pułki Radziwiłłowskie dobrze okryte, na meztwie im nie zbywa. Skończy się więc prawdopodobnie na manifeście kanclerza, a i tego żadne akta nie przyjmą.

Królowi się twarz śmiała.

— A biskup Krasiński? — spytał.

— Bardzo czynny — mówił Plater — sam byłem świadkiem nieustannej jego pracy — szyderstwo przebijalo się w głosie — niewyprzegają ani na chwilę koni biskupa, który sztuka i dobija się to do kardynałii, to do pałacu biskupiego z kolei. On i Brzostow-

ski spodziewali się, gdym wyjeżdżał, doprowadzić do tego, aby arbitrowie byli do układów wyznaczeni.

— Czasu to wiele zabierze, a wątpię, ażeby do czego doprowadziło—odezwał się Brühl.—Czartorysey dopóki jakakolwiek siłę mają, nie ugną się, Radziwiłł nie ustąpi.

Szczęście, że książę wojewoda, mocniejszy jest.

Było już tak ciemno, że król spojrzawszy na plac, na którym ledwie się jeszcze leżąca widzieć dawała przynęta, z westchnieniem i żalem widocznym, oddał pachołkowi strzelbę, którą trzymał w ręku i poprzedzany przez służbę, która się ze światłem zjawiała, ciągnąc za sobą ministra i starostę, udał się z nimi do swych pokojów.

Kilka osób czekało tu na niego. — Król, pomimo tęsknicy jaką miał do Drezna, choć niespokojny o losy trybunału i ciągłemi skargami na Czartoryskich niecierpliwiony, był dosyć wesoły i Brühla ciągle przywołując do siebie na szepty jakichś tajemnicze, słuchał co mu powiadano uprzejmie przyjmując pochlebstwa i umyślnie dla niego przyprawiane wiadomości.

Starosta, który nie był tu zbyt częstym gościem z wielkiem zajęciem przysłuchiwał się rozprawom i rozmowom, ucząc się z nich zapewne wiele gdyż to co tu mu się słyszeć dawało i co tu uchodziło za prawdę gdzieindziej, wcale by wyglądało inaczej.

Dla rozpoczynającego zawód przy dworze człowieka, nauka była wielka, z jaką ostrożnością z królem o przeszłości i teraźniejszości mówić było potrzeba, ażeby się z tem nie minąć co tu za rzecz pewną uznawano, a co gdzieindziej było wierutnym fałszem,

Przekonał się z jaką synowską pieczołowitością o zdrowie i humor pański, minister kołysał go i usypiał doskonale ułożonemi baśniami o jego własnem panowaniu.

Wszystkie wypadki nieszczęsnej wojny siedmioletniej, na pokojach Augusta III były tryumfami i nader pomyślną zapowiadały przyszłość. Wiele głośnych



faktów, powszechnie znanych i wiadomych na pokojach ignorowano, nie istniały, inne przybierały barwę, która naturę ich zmieniała.

Starosta też wkrótce uląkłszy się, aby mimowolnie z czemś się nie wymówił niewłaściwem, stał się bardzo milczącym.

Na pokojach wieczoru tego, szczęściem najwięcej mówiono o Dreźnie, odwracając uwagę od Polski i tego co się tu działo.

Z oburzeniem wspomniął tylko król o potwarzach, któremi prześladowano ulubionego mu ministra, a szczególnie o zuchwałym memorjale czynności jego wyjaśniającym, podanym przez hetmana Branickiego.

Brühl spokojnie, jako niewinna ofiara, nieprzyjaćiom swym płacił wielką wspaniałomyślnością, która u N. Pana uwielbienie dla niego wzbudzała.

— Dla tych to wrogów swych — mówił August, z uniesieniem — Brühl zamiast domagać się na nich kary, prosi o przywileje i nadania.

Tak było w istocie, bo minister nawet od Czartoryskich biorąc zwykły haracz, i dla nich wyrabiał urzędy i starostwa złotodajne.

Po wieczery szczupłe kółko gości królewskich rozchodzić się i rozjeżdżać zaczęło, a Plater powrócił do swoich, aby tam rozmyślać o dziwach, które widział i słyszał.

Brühl nazajutrz jeszcze wezwał go do siebie, aby się dowiedzieć o drobnostkach, które dla niego miały znaczenie wielkie. Zapomniał był między innemi, zapytać o hetmana polnego litewskiego Sapiechę, a raczej o piękną żonę jego, która polityką męża kierowała. Wpływ jej do pogardzenia nie był.

Władza ona umysłami wielu, mówiono o wielce nią zajęтым synu ministra Brühla, dla którego i ona słabość miała. Znajdowano, że król nawet, gdy ją spotykał, witał z galanterją i słodyczą na ustach. Tem też usilniej starano się ją oddalić od dworu.



Nazajutrz pierwsze pytanie staroście zadane jej się tyczyło.

— Piękna Magdalena, ale nie pokutnica — rzekł Brühl — jest-li w Wilnie? Czy jej mogą zaważyć — a głos stanowić o zwycięstwie. — Dwaj hetmanowie powinni trzymać z sobą.

— Hetmanowa jest w Wilnie — odparł starosta — bo hetman tam przybyć musiał, a ona by go samego nie puściła.

— Ma zupełną słuszność — wtrącił Brühl. — Najlepszym jest jego adjutantem.

— Jak są z sobą hetmanowie nie wiem — mówił dalej starosta — sądzę jednak, że się zbyt nie kochają, a książę wojewoda wileński nie gustuje wcale w pięknej Magdalenie.

— Zły ma gust — wtrącił Brühl.

— Dał tego dowody nieraz — rozśmiał się Plater — hetmanowa polna nie zadaje sobie wcale pracy aby go pozyskała. Ma dosyć galantów, nie licząc męża.

Starosta urwał nagle i stał dobrą chwilę milczący.

— O stolniku słyszeliście zapewne? — zapytał głos zniżając.

— Jest w Petersburgu — rzekł kwaśno Brühl. — Familja stara się z niego zrobić wielkiego człowieka, którym on nigdy nie będzie. Nie wątpię tylko, że po ojcu i wujach zręczność wielką i umiejętność siedzenia w potrzebie na dwu stołkach, odziedziczy.

— Stolnik z Petersburga powrócił, jest w Wilnie i dworuje pilno około hetmanowej polnej.

— Ah! — zawołał Brühl — czy nie zawiele dwóch Sapieżyn na jednego Poniatowskiego. Wszakże wiadomo, że jest w wielkich łaskach u królowej wojewodzicowej Mściławskiej. Dosyć by było tej jednej?

Plater się rozśmiał.

— Przypisują mu nie tylko tę nową zdobycz — rzekł — ale nadzieję, że go cesarzowa na przyszłej elekcji pomiędzy kandydatów do korony ma postawić

— To trochę za wiele! wybuchając śmiechem —

zawołał Brühl. Grzeszycie mój starosto, zbytnią łatwo-wiernością. Komuż na myśl mogło przyjść tak poczwarną niedorzeczność wymyśleć. Poniatowski stolnik kandydatem do korony.

— *Relata refero*—odparł Plater—choć sam widzę, że to jest plotka niezgrabna. Dla charakterystyki obecnej chwili i ona ma swoje znaczenie. Przywieziono ją z Petersburga, nie narodziła się w Wilnie.

— Mogła przyjść na świat w Wołczyńnię — rzekł Brühl.—Bo Czartoryskim by wygodniej było mieć na tronie swojej roboty kreaturę posłuszną, niż nawet samym panować.

Zamyślili się dwaj rozmawiający. Wtem, gdy Plater myślał czemby jeszcze ciekawość cchiwego nowości Brühla mógł nakarmić, wszedł kapelan Augusta III, że zleceniem, aby ministra prosił natychmiast do króla. Brühlowi znane były dobrze te po kilka razy na dzień wznawiające się pilne zawsze sprawy, do których był potrzebnym, kończące się uajbłahszem jakimś pytaniem.

Król bez niego żyć nie mógł, czuł się opuszczonym, a trwożył i gdy nie miał co z nim mówić, chciał choć patrzeć na niego.

I tym razem nic się ważniejszego znaleźć nie spodziewał, chociaż kapelan zapewniał, że od podstolego koronnego Lubomirskiego listy nadeszły, które August III sam rozpieczętowywał i czytać je kazał sobie.

Zmarszczył się minister dowiadując o tem, bo się lękał, ażeby samowola królewska nie weszła we zwyczaj, gdy dotąd wszystko przechodziło przez jego ręce.

— Cóż się to stało N. Panu—odezwał się do kapelana — iż sam list otworzył. Mógł w nim znaleźć coś nie milego i zatrważającego, czemubym ja mógł zapobiedz.

— N. Pan—odparł duchowny—tak jest niecierpli-

wy, aby mu co wyjazdu do Drezna nie kazało odroczyć.

Brühl niedosłyszawszy końca, ruszył natychmiast do pałacu saskiego. Konie zaprzężone zawsze na zawołanie czekały.

Króla zastał ze zgasłą fajką, krokami ocieźzałemi przechodzącego się po pokoju. List otwarty leżał na stole. August III nie mówiąc nic, wskazał go rozpaczliwym ręką ruchem Brühlowi, który łapezywie go pochwycił.

Podstoli koronny miał dobra rozległe na granicy Wołoszy, trudno mu się tam upilnować było.

Ludzie Lubomirskiego napotkawszy kupców tatarskich—złupili ich i nbili kilku z czeladzi. Lament ztąd powstał i narzekania nie na Lubomirskiego i jego ludzi, ale na samą Rzeczpospolitą.

Han odgrażając się jeżeliby zaspokojonym nie był, oznajmił, że Orde ściga i z nią pójdzie we wnętrznościach Rzeczpospolitej szukać sobie wynagrodzenia krzywd swoich.

Król drżał przerażony. Wojna z Tatarami, zatem dziczy, której okrucieństwa i rozboje były w żywej wszystkich pamięci.

Lubomirski list hana z przekładem przesyłał w oryginale królowi, uniewinniając ludzi swych, a razem składając skargę drugą Tatarów, że im Czarnocki, majątny szlachcie z sandomierskiego, który też miał posiadłość na pograniczu, upatrzywszy chwilę sposobną, wpadł znienacka i kilkaset koni na pastwiskach pochwyconych, uprowadził.

Mieli więc Tatarowie aż dwa słuszne powody do wypowiedzenia wojny i grozili zemstą srogą, jeżeliby wynagrodzonymi nie byli. Lubomirski się do winy nie przyznawał i pretensyi tatarskich zaspakając nie myślał, a Czarnocki, choć sprawa głośną była, sianem z niej chciał się wykręcić. Ani z jednego ni z drugiego na razie nie można było wyciągnąć, a Tatarowie krzyczeli, że czekać nie myślą.

Król przewidywał już, że go dla Tatarów zatrzymać mogą w Warszawie.

— Brühl—zawołał król—potrzeba na to rychłego ratunku. Odjechać mi ztąd nie dadzą póki Tatarów żarłoczności nie zaspokoimy.

— Powiedzą, że się od Tatarów salwuję jadąc do Drezna, a ty wiesz jak mi tam pilno.—Sześć lat nie miałem ani jednego godnego mnie widowiska. Cleopida czeka na mnie.

Brühl stał wpatrzony w rozwity długi list bana i porozrzucane papiery, zdawał się dumać nad środkami obrony.

Król naglił.

— N. Panie — odezwał się wreszcie — kto się ośmielił papiery te, które tylko za pośrednictwem mojem dochodzić powinny W. K. Mości, wprost oddać do rąk Jego? Ja staram się zapobiedz aby Wam trosk próżnych oszczędzić. To spisek na spokój, zdrowie i życie W. K. Mości, ja się naprzód demagam ukarania tej zuchwałości.

August III zdumał się nieco, ale z wdzięcznością przyjął to oburzenie Brühla.

— Brühl — wyjęczał — zostawmy to wykroczenie do rozpoznania w przyszłości. Tatarów mamy naprzód do pozbycia się ich.

Minister wiedział bardzo dobrze iż zarówno Tatarów i chrześcian, gdy się z nimi wojować nie chce lub nie może, pozbywa pieniędzmi. Żał mu ich było dla smarowania brudnych kożuchów Ordy, ale nie trwożyły go pogroźki.

Cheąc jednak uchodzić za wybawiciela i nową uzyskać u króla wdzięczność, musiał się złąknąć dziczy pogańskiej choć na chwilę.

— Tak jest N. Panie — odpowiedział z surowym wyrazem twarzy — tak jest, naprzód wszelkie niebezpieczeństwo od Ordy usunąć potrzeba. Pozwólcie mi się tem zająć.

— Wszystko zdaję na ciebie, ty jeden uratować

mnie możesz—przerwał August.—Tatarzy muszą już stać na granicy, gdy my niemieliśmy ani przeczucia nawet tego co nas czeka. Tatarzy i kanclerz!!

— Brühl—naprzód, proszę cię, niech duchowieństwo nakaże nabożeństwo po kościołach dla odwrócenia od nas tej klęski, a potem...

— Zaczniemy od Boga — odezwał się minister — z westchnieniem potężnem. Myśl miałem też samę, a potem... weźmiemy się energicznie do dzieła.

Król się zająknął zamyślony, wymawiając z trudnością.

— Pospolitel pospolite!

— Ja mam nadzieję, że pospolitego ruszenia potrzebować nie będziemy—przerwał Brühl,—Tatarowie są więcej na grosz, niż na krew łakomi. Któż wie?... może nam się nda...

Zrozumiał August i rzekł żywo:

— Ale mamyż my pieniądze?...

— My je zawsze mamy—odpowiedział minister—ale ma je i skarb koronny, który za grzechy szlachty płacić powinien. Proszę Was, N. Panie, raczcie być spokojni, rzućcie na moje ramiona ciężar ten. Spodziewam się mu podolać.

Rozrzuwiony August III, ukochanego ministra uściskał, który zagarnawszy papiery, natychmiast z niemi do pałacu swojego pośpieszył.

Tu rzucił się na kanapę, nie spojrzawszy nawet na nie i spokojnie zajął się nierównie dla niego więcej interesującą korespondencją, która na niego czekała.

Były to listy poufne, z których przynajmniej połowa zdradzała charakterem pochodzenie swe z buduarów i sypialni niewieścich. Lecz nie miały już one dla zestarzałego i wyżytego ministra żadnego uroku i siły pociągającej. Daleko ciekawsze mi były tajemnicze notatki, które z różnych stron nadchodziły, donosząc o ludziach, o interesach, o intrygach, w które Brühl był mniej więcej wmieszany. Umiął on ze wszystkiego korzystać i dla tego na



wszystkie strony miał oko. Przez niego tylko robiło się to, co od królewskiej zależało woli, a August III tak był do tego przywykłym, iż nie sam przez się, ani przez nikogo dokonać nie śmiał bez Brühla. Jeżeli przypadkiem coś się pomijając go zrezolwowało, zawsze prawie stawał się potem cud, zrobione trzeba było potem przerabiać, odrabiać i odwoływać.

Brühl wcale się widocznie nie mieszał do tego, przychodziło to samo z siebie.

Niepospolitej potrzeba było zręczności, znajomości charakteru króla i odwagi, ażeby przez lat kilkadziesiąt utrzymać króla w tej kurateli, nie dać mu się poruszyć, nie począć, pomyśleć nawet. Brühl dokonywał tej sztuki sposobem bardzo prostym. Żywił w Augustcie III wszystkie jego słabostki, pomagał do ich rozwinięcia, do przeistoczenia się w nałogi, pielegnował namiętności, upodobania, fantazyc.

Miłość i poszanowanie pamięci ojca, była sprężyną, która króla pobudzała do naśladowania go we wszystkim, oprócz miłostek. Teatr stworzony przez Augusta II, utrzymał jako dzieło, myślistwo mu ulubione, uczynił najgłówniejszą swoją rozrywką, dla siebie tylko zbierał obrazy, które ściągał i drogo opłacał.

Brühl naprzód starał się o to, aby nigdy panu na tych zabawach jego nie zbywało, zajmował go niemi do tego stopnia, iż na nie potem innego czasu i sił nie stawało.

W spuściznie po ojcu wziął król także upodobanie w lipskim jarmarku, na który dla zabaw zjeżdżali się wówczas książęta niemieccy, całe ich dwory, pannie i młodzież. Jarmark lipski nadzwyczaj ożywiony, był karnawalem weneckim północy. August III ile razy mógł, przybywał do Lipska na mięsopust, bawił aż do popielca i cieszył się, gdy tłumny zjazd znajdował. Brühl naturalnie nigdy mu towarzyszyć nie omieszkiał.



Sprowadzono aktorów francuzkich, a handel też z tego korzystał.

Wszystko to, czego król długo podczas siedmioletniej wojny był pozbawionym, ciągnęło go teraz do Drezna i Lipska, do lasów Huberstburskich i do galerii, w której królowała Rafaela Madonna i dwa arcydzieła Corregia.

W chwili, gdy się spodziewał temu najgorętszemu pragnieniu zadość uczynić, zagrożonym był przez Tatarów, przyprowadzało go do rozpaczki niemal.

Ale od czegoż był Brühl, ten Brühl, który wyszedł cało z walki z Fryderykiem i monarchę swojego ocalił.

Przypisywał mu to przynajmniej August III i wdzięczność jego nie miała granic. Troszczył się tylko o to, jak potrafi nagrodzić ulubieńcowi wszystkie straty jakie on poniósł, będąc wystawionym na zemstę króla pruskiego, zrabowane pałace, zniszczone zbiory, spustoszone majątkości.

Tatarowie przychodzili ministrowi niemal pożądanemu i w porę, bo zażegnawszy niebezpieczeństwo od nich zagrażające, mógł zaskarbić sobie nowe prawa do wdzięczności.

W istocie zaś pogróżki od Ordy nie były żadną nowością, znano się z niemi i zawsze w jeden sposób radzono sobie. Umawiano się o haracz, który im zapłacić miano.

I tym razem nikomu nie zagrażało nic, oprócz Skarbu koronnego, który choć wycieńczony, mógł się łatwo zdobyć na kilka lub kilkanaście tysięcy czerwonych złotych.

Brühl też ani spojrzał na listy Lubomirskiego, a zajął się swoimi osobistymi sprawami. Kilka wakansów było do rozdania więcej płacącemu. Nie zbywało na ofertach. Szło o to, aby pieniędzy wziąć jak najwięcej, a ludziom tym rozdać dobrodziejstwa, którzy najmniej szkodliwymi lub pożytecznymi być mogli. Polska teraz po odjeździe króla, wystawioną była na teatr zapasów stronnictw walczących z sobą.

Czartoryscy mieli nie tylko Cesarzową, ale niepospolite zdolności, powagę, znaczenie ludzi, którzy polityką zajmowali się całe życie.

Brühl nie tał przed sobą, że to stronnictwo, co go popierając, stało przeciw nim, wyposażone było niepospolitem zuchwalstwem i butą.

Przybywająca do Wilna księżna hetmanowa, aczkolwiek śmiała i niedająca się lada czem ustraszyć, na samym wstępie, zdążając na Antokol przez miasto, mogła już powziąć wyobrażenie o tem, czem będzie sama walka o trybunał, z przygotowań jakie zastała dokola Wilna i w niem samem.

Ulice i domy pełne były ludzi uzbrojonych, gromady napitych picchot, hajduków, kozaków, pajuków, dragonów zalegały podwórza, rynki i domy z których właściciele powyrzucano.

Były to dopiero dwory same możnych panów, którzy w tym dramacie role ważniejsze odgrywać mieli.

Z tych wszystkich wysłańcy królewscy, Krasiński biskup kamieniecki, Brzostowski kasztelan, najmniej byli widoczni i pokaźni. Brzostowski chodził niepostrzeżony, działał ostrożnie i pocichu, jedną i drugą stronę strasząc nie tylko nielaską królewską, ale i siłami przeciwników. U Radziwiłła powiedział o pułkach wciągających *in viscera* Rzeczplitej, których wprowadzenie kraj miał zrzucić na tych co zmuszali do ich powołania. U księcia kanclerza wyliczał regimenta Radziwiłłowskie, jego nadworną milicję, a wreszcie pomoc wojsk, które hetman polny dać mu będzie zmuszony.

Niewiedzano jeszcze zupełnie, czy Sapieha to uczyni, bo księżna jejmość nie cierpiała wojewody wileń-

skiego, ale Brzostowski znajdował pożytecznem za pewnić, iż to jest postanowionem.

Krasiński czynniejszym był jeszcze, wymowniejszym, zręczniejszym, lecz tak król sam, w którego imieniu tu stawał, nie miał powagi i znaczenia. Król, to był Brühl, a u Brühla wszystko rohiły pieniądze. Czartoryscy i Radziwiłł do ufundowania Trybunału po swej myśli przywiązywali największą wagę i gotowi byli ofiar nie szczędzić.

U jednych i drugich biskup Krasiński znajdował opór żelazny i niecierpliwość zmierzania się z nieprzyjacielem.

Wyśmiewano się z księcia wojewody wileńskiego, że u niego ciągle była pijatyka i wrzawa, że po dziedzińcach strzelano, po ulicach biegano i nie tajono planów wojennych. Czartoryscy stosunkowo siedzieli cicho, ale to nie znaczyło wcale, ażeby dać mieli za wygrane.

Nie było dnia, ażeby przy drzwiach zamkniętych nie radziły obie strony co poczynać mają. Narady niekiedy do późnej nocy trwały. Nie mogła naturalnie uczestniczyć w nich księżna Sapieżyna, ale wysyłała Tołoczkę, który towarzyszył hetmanowi i ze wszystkiego zdawał sprawę. Tołoczko był powiernikiem jej myśli, a Sapieha wiedział o tem i musiał się na niego oglądać.

Im termin owego fundowania zbliżał się bardziej, tem gorączka rosła. Stronnictwu Czartoryskich przekładano, że narażać się na niechybną klęskę nie godziło, gdy w układach, do których Krasiński się ofiarował zyskać mogli dobre warunki. Nie wahał się obiecywać wysłannik królewski.

Wiadomem było, że Radziwiłł brawurując to, że sił wojskowych prowadzić w taki czas nie było mu wolno, ruszył cztery tysiące milicji nadwornej, pod pozorem Ingressu na województwo wileńskie.

Wjazdy takie uroczyście i z pompą wielką zwykli byli od wicków odbywać książęta, a cały szereg wo-

jewodów za księciem stojący, stanowił *praecedens* niezaprzeczony. Nie można mu było wzbronąć tego, co przedtem było dozwolonem.

Pomiędzy lawirowaniem i stanowczem wystąpieniem, zdania były podzielone.

Nazajutrz po przybyciu hetmanowej do Wilna, Toloczko doniósł ze szczegółami na czem stało u księcia kanclerza.

Zwołana z pośpiechem wielkim Rada przyjaciół *Familji*, po kilkogodzinnych burzliwych rozprawach, postanowiła czekać ewentów dalszych, a mianowicie zezwolenia na poparcie wojskami, na które hetman wielki zgodzić się nie chciał.

Czartoryskim uśmiechał się plan nader zuchwały młodego Branickiego starosty halickiego, który obiecywał całe wojsko Radziwiłła zetrzeć na miazgę. Drudzy w nim widzieli niebezpieczny eksperyment, który nie udać się mógł i nieszczęście spowodować.

Branicki, który miał wielką eksperjencją wojskową i służył czasu wojny z Prusami w wojsku austrijackiem—wnosił, aby nocą most na Wilii zniszczyć, mogący służyć do połączenia rozdzielonych sił księcia wojewody i na połowę ich uderzyć całą siłą.

Ale potrzeba było do zaczepki pozorów i pewności, że się nie poślizgnie noga. Hetman na eksperyment wojsk narażać nie chciał.

Zalecano starostę halickiego z jego służby w wojsku austrijackiem, na co miał dowcipnie odpowiedzieć nie należący do rodu pan Burba.

— Nie zaleca to pana starosty, że edukacją brał w austrijackiem wojsku, w którym się tylko nauczyć mógł, jak się biorą plagi.

Rozchwiał się więc ten plan, a biskup Krasziński ciągle na układy nalegał, męczył i miał nadzieję, że one dojdą do skutku.

Książę kanclerz nie życzył sobie układów, które zdaniem jego powagą stronnictwa nadwyrężały, ukazując słabość jego. Z klęski nawet można było jakąś

korzyść osiągnąć, a przyjmując pakta i o nie się dobijając przyznawano się do niemocy.

Nie śmiano jednak wbrew okazać oporu odpychając układy; książę kanclerz obiecywał sobie prowadzić je tak coraz nowe robiąc wymagania, aby spełzły na niczem.

Biskup Krasiński winszował już sobie sukcesu, gdy Czartoryscy wiedzieli z góry, iż zerwą w końcu umowę.

Radziwiłł ze zwykłą swą butą, żartował z księcia kanclerza i powiadał, że gotów się układać byle wszystkie jego warunki przyjęto.

— Bo ja panie kochanku, kroku w tył nie uczynię i nie dam się zbłaźnić.

Najgorzej wychodzili ci co chcieli wyrozumieć Sapiehę, który sam nie wiedział, gdzie mu stanąć wypadnie, a żona go od wszelkiej decyzji jasnej wstrzymywała.

Ciągnięto go do księcia wojewody i dałby się był ująć, ale jejmość na to pozwolić nie mogła. Osobiście się jej naraził książę wojewoda, podchmieliwszy sobie, gdy jej grubijańsko przyciął przypominając amory z młodym Brühlem, którym jak fama głosiła, winien był Sapieha pełną buławę.

Drugą też tajemną pobudką do odstrychnięcia się od Radziwiłła było to, iż Sapieżyna, zajęta była i rozkochana w stolniku Poniatowskim, pragnąc go odciągnąć od znienawidzonej rywalki księżnej wojewodziejowej Mściśławskiej.

Obie one walczyły naówczas o pozyskanie serca siostrzeńca Czartoryskich, o którym głoszone tajemniczo, iż wielka czekała go przyszłość.

Stolnik, który się naówczas w Wilnie znajdował, zachwycał wszystkie kobiety należące do wielkiego świata. Pięknej i nader wdzięcznej twarzy, zalotny jak kobieta, dowcipny, pełen życia, prawdziwie stworzony do królowania w salonach, stolnik miał już za sobą sławę przywiezioną z Petersburga. Był to po-



mimo swej młodości, człowiek uniwersalny, mówiący doskonale kilku językami, któremu żadna nauka nie była obcą, umiejący poważnym być ze starymi, roztrzepanym w towarzystwie młodych, chwytającym wszystkich za serca.

Mówiono żartobliwie iż mu do perfekcyi na jednej tylko rzeczy zbywało—pić nie umiał, a w Polsce na ówczas hez kielicha się nie odbywało, od niego zaczynało, na nim kończyło. Był on medyatorem, superarbitrem, najlepszym obrońcą i najskuteczniejszą sprężyną.

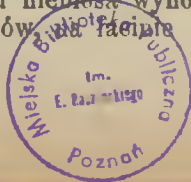
Mało go widywano w towarzystwach w Wilnie, gdzie więcej zdawał się szukać ludzi, aby ich poznać, niż aby być poznanym, w niewieścich jednak kółkach obracał się chętnie i te mu były najmiłszymi. Brat pani wojewodzicowej Mécisławskiej, służył mu tu za przewodnika i adjutanta.

Zażywając Tołoczkę do spraw publicznych szczególnie tam, gdzie na męża rachować nie mogła, hetmanowa zleciła mu też aby się starał zbliżyć do młodego Branickiego, do stolnika, a nawet do wojewodzicowej, której każdy ruch śledzić była rada.

Posłuszny i otmistrz starał się o zawiązanie stosunków, lecz to mu się nie bardzo wiodło. Naprzód pan Klemens był wychowany na łacinie, a kółko te czysto francuzką miało fizognomię i obyczaje. Wielka zaporą dzieliła te dwie części szlachty i jedna do drugiej wcale nie była podobną.

Łacinnicy przechowywali tradycye narodowe, mieli dla nich poszanowanie, obcych naśladowań nie chcieli, i wstręt nawet do nich głosili, gdy francuzi rozmiłowani w swym pierwowzorze i suknię starą zrzucali i wszystkie starodawne zwyczaje zastępowali elegancją nowoczesną. Łacina prowadziła do kościoła, francuszczyzna narzucała ateizm i niewiarę. W modzie było naśmiewać się z duchownych, bluźnić i szydzić z mnichów, i pod niebiosa wynosić Voltair'a.

Niewielu panów było łacinnymi wykarmlonych, zara-





zem z francuszczyzną się godzili, ale i takich napotkać było można. Pomiedzy kobietami, matrony tylko trzymały się starych tradycij i modliły z Heroiny chrześcijańskiej, młode już zamiast pobożnych ksiązek Rousseau'a nosiły w kieszeni.

Tołoczko, pomimo oglady, która mu w salonie miejsce zajmować dozwalała, choć po trosze francuszczyzną rozumiał, nie mówił tym językiem aby śmiesznym nie być, i w głębi duszy, brzydził się nim.

To mu zawadzało gdy trzeba było mieć do czynienia z paniami młodem. Zręcznie się jednak posługując drugiemu, przynosił hetmanowej wiadomości i z tego mu niejmu dostępnego świata.

Pracował tem gorliwiej dla niej, iż trafem napałzył był właśnie w Wilnie panienkę, o której rękę zamyślił się starać z pomocą swej protektorki. Znał jej wielką zręczność w tych sprawach, a pewne okoliczności dawały mu nadzieję, iż księżna wielkich trudności w spełnieniu swej obietnicy mieć nie będzie.

W niewielkiej odległości od Wysokiego Litewskiego, w którym hetmanowa najczęściej brzemieszkiwała, znajdowała się Kuźnica, majątność pani Koiszewskiej, strażnikowej trockiej, która tu z córką, jeźniaczką Anielą, od lat kilku przebywała. Przedtem Koiszewska nie była tu znaną, z mężem swym rezydując około Wilna.

Przybywszy w te strony strażnikowa, dała się tu poznać zaraz z tego, iż w osobliwszy sposób, we wszystkim sobie radę dawać umiała. Mało potrzebowała porady prawników, gdyż statut i korektury na palcach znała. Około gospodarstwa chodziła jak stary ekonom, który natem zęby zjadł. Z jedną tylko francuszczyzną modną, choć język ten rozumiała, w zgodzie nie była i do nowych obyczajów nawrócić się nie dała. Wszystko w niej było po staremu aż do przesady, wedle tradycij jak ongi bywało.

Rozumie się, że córkę Anielę chciała wychować wedle swej myśli i upodobania, nie cudzoziemską

fazą, ale po staropolsku. Gdy się to działo strażnikowa zamieszkiwała pod Wilnem, gdzie siostrę ciotecznią miała, elegantkę i już na nową wiarę nawróconą.

Mając wiele do czynienia z majątkiem i interesami, Koiszewska córkę często oddawała do siostry, nie przypuszczając, aby ona tam się nienawistną jej francuszczyzną zarazić miała.

Tymczasem stało się, że panna Aniela całem sercem do elegancji przyłgnęła i nauczywszy się szczeniotać i pisać, więcej się stała do ciotki niż do matki podobną.

Koiszewska opatrzyła się po niewczasie, odebrała córkę, poczęła ją przerabiać na swoje kopyto, ale panna tem się mocniej przywiązała do tego co jej wydało się lepszem i piękniejszym. Panienka była nie nadzwyczajnej rażącej piękności, ale wcale nie szpetna, a bujne włosy i duże oczy szczególnie ją odzuaczały.

Lukta się poczęła pomiędzy matką a córką, zrazu bez wypowiedzenia wojny, potem jawna. Panna Aniela nie śmiała przeciwko rodzonej matce występować, ale płakała, męczyła się, a przerobić nie umiała. Chciała z niej strażnikowa zrobić gospozię dobrą, a jej wielki świat się śnił i towarzystwo takie jakie u ciotki widywała.

Ponieważ wpływ jej w sąsiedztwie mieszkającej, zawsze się na pannie Anieli czuć dawał, aby utrudnić stosunki przeniosła się nawet Koiszewska do Kuźnicy, ale trafiła z deszczu pod rynnę. Znalazła tu hetmanowę, która towarzystwo młodych, wesłych dziewcząt lubiła, a tu wszystko było na francuskim sosie.

Zrobiwszy naprzód znajomość z księżną, Koiszewska potem tak prawie jak odsunęła się od niej, aby jej córki nie bałamucila.

Powszechnie się uzalano nad losem panny Anieli, pod ciężkiem jarzmem despotycznej matki cierpiącej, ale z Koiszewską twardo było. Nie dawała sobie

imponować nikomu, robiła co chciała, wedle przekonania.

Od zupełnego zerwania z Wysokiem, któreby było nastąpiło niechybnie, broniło to, że Koiszewska z córką, pobożną będąc, do parafialnego kościoła w Wysokiem jeździć musiała. Tu się spotykała z księżną, która przez litość nad panną, a trochę też aby na swem postawić, narzucała się Koiszewskiej.

Matka i córka, obie z sobą były nieszczęśliwe ale ani jedna ani druga zmienić się nie mogła. Strażnikowa została kobietą starego autoramentu, a panna Aniela innego świata dziecięciem.

Jedyną nadzieją matki było, że ją wydać potrafi za szlachcica takiego, o jakim dla niej marzyła, któryby ją uczynił szczęśliwą i od płochego towarzystwa oderwał.

Wiadomem było, że panna miała gotówkę pod poduszką, dwanaście tysięcy złotych, a oprócz tego i wioskę, chociaż ją różne obciążały zapisy i kondykta. Dwanaście tysięcy nie było do pogardzenia, panna też świeża, młoda, lubiąca elegancję, umiejscą szczebiotać i mogącą się podobać.

Na starających się zbywać nie było powinno, ale strażnikowej Koiszewskiej każdy się obawiał. Powiadano, że męża w ryzie trzymała, wiedziano, że z córką też obchodziła despotycznie, nie ważył się nikt do jej ręki.

W domu strażnikowej osób bywało mało, ona też nie lubiła wizyt i często wyjeżdżała. Tyle tylko, że ją w niedzielę i święta widywano przybywającą z matką do kościoła i modlącą się ze smutnym twarzą wyrazem. Ubolewano nad jej losem.

Tołoczko, który jakoś rzadko kiedy niedzielę u hetmana przesiadawał, jeżdżąc zwykle do domu i gospodarstwa, panny Anieli nie widział prawie i nie znał wcale. Uderzyła go postawa i twarzyczka, serce mu zabilo. Po mszy, gdy wychodzili, zaraz w progu za pytał rezydenta hetmana, Sniegurskiego, ktoby była.

— A cóż to pan rotmistrz, naszej panny strażnikównej nie zna?—zapytał chorąży.

— Jeżeli się nie mylę, poraz pierwszy ją widzę—rzekł Tołoczko.

— Panna wcale niczego, a nosi taki smutek w oczach, że mi jej czegoś żal—rzekł rotmistrz.

— Ale bo w istocie dola jej nie do zazdrości — mówił dalej chorąży.—Koiszewska strażnikowa Trocka, szacowna i zacna matrona, ale panie kozak w spódnicy, trudno z nią żyć. To też słyszę, córka tam krzyż pański nosi z nią.

— Dlaczego? — badał Tołoczko.

— Bo wychowywała się, czy przebywała często u ciotki w domu eleganckim, wedlo nowej mody i to do niej przyłgnęło, a Koiszewska tego obyczaju i parle franse cierpieć nie może. Ztąd pono między matką a córką nieporozumienie. Koiszewska przeniósłszy się w te strony, przyjechała z submisją i do hetmanowej, a jak tu powąchała francuszczyzny, tak jej już ani złapać, ani wciągnąć, dziewczyna się w tej Kuźnicy samotnie męczy. Panna ma gotowego posagu dwaście tysięcy, a po najdłuższem życiu, dużo więcej mieć będzie, no i przystojna i w głowie słyszę dobrze, a nikt się do niej nie posunie. Córkę wziąć, to nie, ale z nią matkę razem, dopiero orzech do zgryzienia.

Tołoczko słuchał, ale ani słowem się nie odezwał, żeby nie dać poznać po sobie, co mu już po głowie chodziło.

— Gdyby za mnie wyjść chciała, ja bym się sekretnicy strażnikowej nie zląkł.

Przyszła potem jakoś właśnie rozmowa o ożenku z hetmanową, która się go wyswatać obiecywała. Tołoczko to sobie przypomniął. Tegoż dnia w rozmowie, gdy do Wilna go wyprawiała księżna Magdalena, śmiejąc się wtrącił.

— Niechże księżna jejmość zawczasu mi remune-

rację przyobiecana gotuje, bo ja się o nią upomnę, dalibóg.

Hetmanowa, która już była zapomniała o co szło, zapytała.

— Cóżem ja obiecała?

— A ożenić mnie—rzekł Tołoczko.

— Prawda! prawda! przypominam to sobie — odparła—ale jestem słowna. Co się obiecało, święte. Tylko mi usłuż na tym Trybunale, żebym była dobrze o wszystkim uwiadoniona. Wiesz, że mój poczciwy hetman negliżuje się i lekceważy wiele, ja za niego i dla siebie muszę być pilną, a na was rachuję jak na Zawiszę.

— Jeżeli tylko jak na—pana wojewodę mińskiego—przerwał Tołoczko żartobliwie.

— A nie lap, że mnie za słowo — dodała piękna hetmanowa—a myśl jakbyś swojego dotrzymał. Co się tyczy mnie, bądź spokojny.

Tołoczce, który sobie węzełek zawiązał na strażnikównie Koiszewskiej, nie wyszła już ona z pamięci miał ją ciągle przed oczyma i przybywszy do Wilna medytował tylko jakby na nią zasłużyć.

Tymczasem jakby naumyślnie u księży Bernardynów na mszy będąc, zobaczył ją tu znowu, gdyż matka dla interesu w Trybunale przybyła i ją z sobą przywiozła.

Tegoż dnia wiedział rotmistrz, gdzie strażnikowa stała i szukał już ktoby go przedstawił.

Koiszewska domyśliła się łatwo co go tu sprowadzało, ale nie dała tego znać po sobie, przyjęła go dobrze, wybadala, wypytała, wyciągnęła co się dało i poczęła zaraz zbierać po znajomych wiadomości o Tołoczce. Ale mało go kto znał i nie wiele mogła się dowiedzieć.

Rotmistrz już nie spuszczał ich z oka.

Koiszewska przybywając na ten trybunał, o którym jeszcze nie wiadomo było, ani czy się ufunduje, ani czyj będzie, miała dwie sprawy na celu.



Naprzód proces zadawniony i trzeci już raz mający się sądzić *de noviter repertis* z Flemingiem, a w rzeczy pozbycie się córki i wydanie za takiego, któryby jej nie dał przerobić się na francuzką elegantkę, bo tych strażnikowa nienawidziła. Sama czuła, że niepodola z nią, nie mogła bowiem pilnować jej ciągle, mąż poważny, uczciwy, ładodny, a energiczny razem mógł jeden ją ocalić, w skromnem domowem życiu uczynić szczęśliwą.

Poznała już charakter Anieli Koiszewska dostatecznie, aby wiedzieć, jak sobie z nią ma począć. Siłą na niej nie wymódl nie było można, trzeba było kunsztu zażyć i dać jej męża, któryby ją na dobrej drodze utrzymał. Strażnikowa o sfrancuzialem towarzystwie mówiła otwarcie.

— Bardzo ono ładnie i elegancko wygląda, ale płocze jest i na duszy zgubę godzi. Wolę, żeby córka moja nie tak pańsko i pięknie wyglądała, a Boga miała w sercu i tak żyła jak jej prababki.

Rozpatrywała się więc, zajmując niby procesem. Tołoczko, gdy o nim zasięgnęła wiadomości, nie podobał się jej głównie, że hetmanowej służył.

Szukała więc innego. Nastęrczył się w Wilnie znajomość z nią robiąc, krewny daleki młody Bujwid staroście pogorzelski.

Przybył on do Wilna w imieniu ojca, aby atentować przy procesie, który miał z Przeciszewskimi.

Chłop był piękny, po staremu w bojaźni Bożej wychowany, a mówiło to za nim u strażnikowej, że ani słowa po francuzku nie umiał. Wychował go starosta starym obyczajem na Alwarze i łacinie, kierując na prawnika i gospodarza. Prawnika z niego chciał mieć dla dogodności swej, bo nieustannie się pieniał i niezliczone miał sprawy, gospodarzem zaś musiał być, bo mieli na Żmudzi za Kownem dobra znaczne.

Zrobił z niego czego sobie życzył, bo Alojzy Bujwid między młodzieżą szlachecką prym trzymał. Ko-



nia dosiąść, do celu strzelić, w szable się wyrabąć, oracyę zaimprovizować, na łowach tydzień w lesie leżeć w najgorszy czas, przychodziło mu łatwo. Nie opuszczał też nabożństwa i w kościele basem śpiewał, że wszystkich głuszył. Nosił się po polsku zawieszisto, suto, jaskrawo i z pewną elegancyą.

Ale na salonie z niego nie było pociechy, stał jak trusia, jękał się i nie wiedział co z rękami zrobić. Przejmując staropolskie cnoty, przejął też i przywary, bo jakkolwiek młody pił choćby półgarncowe kielichy, spełniając duszkiem, i przy stole dotrzymywał najstarszym pałkom.

O wszystkim tem Koiszewska była zawiadomioną, ale to ją nie zniechęcało i nie odstręczało, za wszystko płaciło, że francuszczyzny nie umiał i na fireyka w peruce przerobić nie dał.

Pannie, Bujwid, póki go nie poznała bliżej dosyć się podobał, bo był powierzchowności przyjemnej, a wyglądał jak lew, kobiety zaś miękkich i słodkich mężczyzn nie lubią.

Lecz w kilka dni odkrył się cały i Aniela patrzeć na niego nie chciała, wydał się jej dzikim, nieokrzesanym gburem. A że mówiąc przeciągał jak potrosze wszyscy litwini, przewalała go, (bo po litewsku umiała nieco) *žemajtys kokutis* (kogut żmujdzki).

Wydawał się jej śmiesznym ze swą brawurą, krzykliwością i manierami wiejskimi. Matka się unosiła nad nim, panna już patrzeć nie mogła.

O Tołoczce, który się jej wydał za stary i wiedziała, że wdowcem był, ani pomyślała żeby się o nią mógł starać.

W mieście przez ten czas poprzedzający ingres księcia wojewody i fundowanie Trybunału, stan był taki, że o asambalach, zabawach, wieczorach, ani pomyśleć nie było można.

Szczęk oręża głuszył muzykę, umysły były podrażnione, ludzie zajęci ważniejszymi sprawami i kobiety, które się wybrały na Trybunał do stolicy, bardzo źle

na tem wyszły. Życie było nie do zniesienia. Zrana nabożeństwo kilka godzin zajmowało, ale potem, wyjąwszy, że się która z pań, mających ekwipaże pojechała przypatrzeć obozom, albo do sklepów za sprawkami, nie było co robić.

Odwiedzały się wzajem, narzekając, zjeżdżały na kawę i podwieczorek, a mężczyźni latali, odwiedzając swe znajome i plotki roznosząc.

Miejsca publicznego, gdzieby się towarzystwo liczniejsze zebrać mogło, nie było.

A że panie podzielały sentymenta mężów i braci, więc choćby się zbliżyły do siebie, wzajem by chyba przyrówkami ostreми się zabawiały.

W znaczniejszych domach, jak u Radziwiłła, Sapiehy, Lubomirskich, Massalskich, Pocijów, Ogińskich, Prozorów, wieczorami domy stały otworem, zabiegał tam kto chciał, każdemu radzi byli, bo coś z sobą, prawdę czy fałsz przynosił.

Takich pośredników, którzy przenosząc się z miejsca na miejsce, do intryg posługiwali bezwiednie, albo dobrowolnie, dosyć było. Do nich śmiało też i pana Klemensa Tołoczke można było zaliczyć, bo choć stary i poważniejszy, tak obchodził domy i języka do-  
stawał jak inni.

Bujwid też szczególniejszoko około Radziwiłłów i Massalskich się kręcił.

U pani strażnikowej, która domu nie miała wielkiego, nie zbierało się gromadnie jej towarzystwo, ale wieczorem zawsze ktoś był i jejmość się nie nudziła.

Panna Aniela, której w tej atmosferze starych po większej części ludzi lub prostaczków, duszno było, siedziała w kątku milcząca. Do towarzystwa miała tylko pannę Antoninę Szklarską, którą jej dobrała matka.

Szklarska dosyć majątna, ale bardzo nie piękna, była już starą panną. Sierota, nie mając blizkich krewnych, najczęściej przebywała u przyjaciół, nie będąc nikomu ciężarem, bo lubiła być czynną, języ-

kiem władała po mistrzowsku i humor miała doskonały. Łączyły ją ze strażnikową, jednakie troską pojęcia, nienawiść do francuszczyzny, miłość starego obyczaju.

Ubierała się Szklarska ze staroświecka, dziwacznie, chodziła w niemodnych już kontusikach, a rogówki i robronu nie kładła nigdy.

Osobliwe to było zjawisko, lecz że ją dla dobrego serca szanować musiano i znano z uczynków dobrych, wiele jej wybaczone coby drugim nie uszło.

Szklarska dochodziła do czterdziestki i sama mówiła o sobie, że chyba już za mąż nie pójdzie.

Ospowata, piegowata, z oczkami małemi, z szerokimi i tłustymi wargami, drobnym noskiem zadartym z brodą szeroką i wystającą, brzydka bardzo, mimo to miała coś w wyrazie twarzy, w uśmiechu, co ją czyniło znośną. Gdyby się nie nosiła cudacznie, nie opinała kokardami żółtymi i czerwonymi, wieleby na tem zyskała.

Gdy jej kobiety doradzały coś tyczącego się stroju, odpowiadała.

— Ja bo się ubieram dla siebie nie dla ludzi, dajcie mi pokój, mnie się to podoba i kwita.

Rozumie się, że Szklarska trzymała z Radziwiłłami.

— Czartoryscy i Flemingi do nas nanoszą niemczyzny. Niemczyzna a francuszczyzna to wszystko jedno.... to zaraza.

Tołoczkę jako nie umiejącego po francuzku, lubiła Szklarska, a w Bujwidzie się kochała prawie.

Wtajemniczoną będąc we wszystkie projekta Strażnikowej, Anielę pozyskać chciała dla Bujwida.

Panna do niej wstąpić miała, bo się jej wydawała śmieszna; lecz wśród tych nudów uroczystych, jakie ją otaczały, była przynajmniej zabawną, i to jej pannę Anielę jednało.

Ale pomocą wielką matce nie mogła być, bo rzeczywistego wpływu na chwilę mieć nie mogła. Gdy

stawiała w obronie starego obyczaju, strażnikówna nie spierając się, zamykała w milczeniu.

Tymczasem rozwiązanie—przeciągało się. Tołoczko, mając w tem swą rachubę potrosze, a starając przymnożyć gości hetmanowej, która lubiła, ażeby się około niej zwijano i dworowano, chciał strażnikową namówić aby odwiedziła sąsiadkę hetmanową.

— A dajże mi pan rotmistrz, święty pokój. — Co ja tam będę robiła? wszystkie te lalki woskowe paplą po francuzku, a ja tego języka nie umiem i znać nie chcę. Będę siedziała jak malowana.

— Przecież tam i po polsku mówiących siła się znajdzie—mówił Tołoczko.

— Bezemnie się chyba obejdzie — odparła strażnikowa.—Niechcę aby mi się Aniela do tego towarzysztwa przyzwyczajała.

— Wiem, że pani hetmanowa radaby była strażnikowej, dla której respekt ma wielki.

Koiszewska ruszyła ramionami.

— Mnie mój krupnik z półgęska lepiej smakuje, niż jej pulpety.

Na tem się skończyła pierwsza próba.

Spotkały się potem we drzwiach kościoła, i hetmanowa pozdrowiła strażnikową imieniem sąsiadki, zapraszając ją do siebie.

Podziękowała Koiszewska grzecznie ale zimno, coś niewyraźnego precedziwszy przez zęby.

Wysłane później przez dworzanina formalne zaproszenie nie pomogło też. Strażnikowa się wymówiła chorobą.

— Wiem o co babie chodzi — rzekła do Szklarskiej.—Wiedzą, że Aniela posag będzie miała, a pewno jakiegoś swego klienta radaby jej zaswatać. Stara sztuka, ale ja się na nich znam i córką moją nie dam rozporządzać nikomu.

Zabiegom niezmordowanym księdza biskupa Kamienieckiego udało się nareszcie Radziwiłłowskich przyjąć, a przez nich samego księcia skłonić do porozumienia się z Czartoryskimi.

Z obu stron pozwolono na tę próbę zaręczając, że ona nie zda się na nic.

Chociaż przez deferencyą dla króla, próbować gotowi. Nikt się niczem wiązać nie chciał, tak aby każdego czasu pod najbliższym pozorem mógł zerwać umowę i odstąpić.

Mógł się jeżdżąc po wszystkich biskup Krasieński przekonać teraz, że ci co byli razem i trzymali się kupą, niekoniecznie byli z sobą, tak związani jak się zdawało.

W wielu rzeczach hetmana wielkiego litewskiego Massalskiego trudno było zrozumieć, a ciotecznego brata księcia wojewody Radziwiłła, hetmana polnego Sapiechę, na oko stojącego przy Radziwiłłach, także posądżono, iż go żona studzi.

Książę kanclerz obiecywał posłać od siebie dla porozumienia się kogoś ale śmiał się i ruszał ramionami. Niech pogadają, mówił, cóż to szkodzi, *próba frei*, książę biskupie.

Przyszło do wyboru miejsca, gdzieby się na neutralnym gruncie z obu stron znaleźć mieli pełnomocnicy. Wydało się ks. Krasieńskiemu właściwem zaprosić do kardynalii Radziwiłłowskiej. Gmach to był rozległy, w samym centrum miasta, około kościoła św. Jana położony. O salę w nim do obrad i osobne pokoje dla ubocznych traktowań na stronie, nie było trudno.

Nikt się nie spierał, naznaczono dzień i godzinę, a choć to po cichu i *privatim* się miało odbywać, nieomieszkał książę wojewoda nakazać, aby dwór jego i czeladzie, wystąpiły odświętnie.

Sam zaś nie chcąc wcale osobiście mieć udziału w układach, zapewnił tylko sobie kątek taki przy sali

wielkiej na dole, aby mógł słyszeć wszystko i rozemnać głosy.

Radzili mu przyjaciele aby lepiej ciekawość swą poskromił i czekał na osobności rezultatu, bo się obawiali aby czemś podrażniony nie wyrwał się z ukrycia i wszystkiego nie zepsuł swą niecierpliwością.

— Ale cóż bo, panie kochanku — odezwał się — rozumiecie, że ja taki jestem gorączka? Mnie to ani ziębi ani grzeje, wiem z góry, że z tego nic nie będzie.

Umocowani od Czartoryskich mieli tedy przybyć na godzinę trzecią i na przyjęcie ich wszystko było w gotowości takiej, ażeby nic nie zdradzało, że się tu coś miało niezwykłego odbywać. Chodzili więc ludzie, zaciągali warty, przyjeżdżali goście, wchodzili i wychodzili mnodzy Radziwiłłowscy klifenci.

Biskup Krasiński i Brzostowski kasztelan oczekiwali już od godziny, a na twarzy biskupa łatwo poznać było, iż otrzymanemu rezultatowi swych starań rad był niezmiernie i sobie przypisywał tak szczęśliwie zapowiadającą się ugodę.

Książę też na swem miejscu drzemał osłonięty parawanem, który maskował drzwi otwarte. Przy nim stał do posyłek wyznaczony młody Orzeszko, dworzanin na służbie dnia tego.

Uderzyła godzina trzecia.

W ulicy ruch był i taki ścisk przed kardynalią, że przybywający, których się spodziewano lada chwilę, w tłumie rozpoznani być nie mogli. Domyślano się też, że jawnie się pokazywać nie zechcą.

Czekano tedy, niecierpliwie. Na wieży też uderzył pierwszy kwadrans, Radziwiłł kazał nicco uchylić parawanu.

— Niema nikogo!

Niebyło nikogo. Wszedł Nietyksza podkomorzy, który prywatny interes miał do wojewody, a o zjeździe wcale nie wiedział. Musiano go schować za parawan, aby przybywających nie spłoszył.

Rdułkowski wniósł aby dla odwilżenia ust pośre-



dników, kazać przynieść wina. Książę coś zamruczał tylko.

Biskup Kamieniecki, żywego wielce temperamentu, czerwieniąc i błędąc ciągle na zegarek spozierał, a zęby mu się ścinały z gniewu, który w sobie tłumił.

Najmniejszy ruch, szelest zwracał oczy wszystkich na drzwi, które stały dotąd nieporuszone. Książę baraszkował z Nietykszą.

Następny kwadrans wydał się wiekiem. Brzostowski na pozór spokojny siedział u okna i patrzył w ulicę, z obojętnością doskonale udaną. Krasieńskiemu gdyby nawet chciał, tego chłodu, odegraćby się nie powiodło. Nie taił się z temperamentem, a że doprowadzeniu do tych układów wiele czasu i trudy poświęcił, podanie w wątpliwość skuteczność starań jego, wprowadzało go w niewysłowione rozdrażnienie i gniew prawie.

Zdawało mu się, że miejsce za zgodą wspólną oznaczone zostało, i że przybycie nie powinno było, ulegać kwestji.

Spojrzał na towarzysza, który obojętnie bawił się sznurkiem od firanki.

Zbliżył się po kasztelana.

— Pół do czwartej! — szepnął.

— Pół do czwartej — potwierdził Brzostowski — *Le quart d'heure de grace, miną, i un quart d'heure de disgrace.* Cóż dalej będzie?

— Juści *de bonne ou mauvaise grace*, w końcu przybędą — rzekł kasztelan.

— I ja tak sądzę — dodał biskup.

Zahuczało coś w ulicy, spojrzeli oba. Ogromny furgon Radziwiłłowski czterema bachmatami zaprzężony, wyładowany wysoko, wciągał właśnie do kardynalii.

Z za parawanu słychać było głos gruby, śmiechem przerywany, księcia wojewody.

Biskup Krasieński, który w miejscu ustać nie mógł, pośpieszył do księcia wojewody. Badał go oczyma,

na twarzy rumianej księcia nie było najmniejszej oznaki oburzenia lub niecierpliwości.

— Taki dzień do polowania stracić między czterema ścianami na stołku, w izbie, to grzech! zamruczał książę. W. panie książę biskupie nie umiesz tego ocenić, bo jesteś myślącym a nie myśliwym, ale ja...

Drzwi się otworzyły w pokoju pierwszym. Krasiński pośpieszył zobaczyć kto nadchodzi. Dworzanie księcia wnosili butelki i kielichy, i ustawili je na wielkim stole. Zresztą nie było nikogo. Z ulicy dochodził ten sam rumor złożony z przeróżnych głosów i szmerów, skrzypienie kół, klaskanie z batów, rżenie koni, szczekanie psów, otwieranie drzwi niesmarowanych, tarcia o bruk nierówny kół ciężkich. Zdala dochodził cienki głosik jakiegoś dzwonka, który kwilił jak ptaszek w szumiącym lesie.

W progu ukazał się hajduk ogromny, który głową niemal sięgał uszaka górnego. Na nim była znana barwa Czartoryskich. Obejrzał się powoli po sali i zobaczywszy biskupa, którego w życiu nie widział, ale miał opisanego, zbliżył się do niego z pokłonem, kartkę trzymając w ręku.

Żywo wyrwał mu ją Krasiński i czytał, czytał i odczytywał.

Ramionami zżył się w gniewie.

— Zaczekacie na odpowiedź.

Hajduk wyszedł pokłoniwszy się.

Biskup stał już za parawanem.

— Bardzo księcia przepraszam—zawołał—nie winienem. Umówiliśmy się o kardynałę, a list odbieram od Morochowskiego, sekretarza Fleminga, że oczekują nas u niego.

— U Fleminga? — zapytał wojewoda?

Nastąpiło milczenie.

— Jęźcie do Fleminga — rzekł książę.

— Z kim?

— Sami, panie kochanku.

— Na cóż się to zda?

— A no, na nie — rzekł książę — i na nieby się nie zdało zebranie u mnie, ale jam zawsze rad gościom.

Biskup stał w płomieniach.

— Gości książę, mówmy serjo, kogo książę wyznacza od siebie.

— Nikogo, nikogo księżę biskupie — rzekł wojewoda. — Chcą się układać, niech przyślą układaczy, ja się układać nie myślę.

— Ależ książę przystał na to! — zawołał zrozpaczony biskup.

— Przystałem słuchać, panie kochanku, będę słuchał cierpliwie.

Uśmiechał się, mówiąc to, książę.

Krasiński stracił cierpliwość.

— Zaklinam pana wojewodę, zapobieźmy daremnemu krwi przelewaniu, niech książę wyznaczy jak przyrzekł.

— Ale z moich nikt nie pojedzie do nich, i ja nie mogę szukać układów, bo ich nie potrzebuję, zgadzam się tylko na to, że propozycyi słuchać będę.

Z za księcia dały się słyszeć głosy.

Żwawo jedni brali stronę Radziwiłła, a drudzy Krasińskiego.

Książę milczał krążąc wzrokiem dokoła.

— Jeżeli koniecznie potrzeba — rzekł — czynić ustępstwo, poślę im Szyszłę i Drużbackiego.

— Ale, bogdaj by ich, byle mieli umocowanie księcia — zawołał biskup.

Byli to dwaj dworzanie nieznaczący księcia wojewody, którzy zwykle jeździli przy jego powozie.

Uderzył kwadrans na piętą.

Znużony i zrozpaczony biskup począł, ręce łamiąc, nalegać na księcia, który milczał, głowę spuściwszy.

Wszyscy dokoła zabierali głos i nikogo już słyszeć nie było można.

Brzostowski wstał od okna i zdawał się wybierać odjechać z niezem.

— Nie widzę innego środka—wyrwał się Krasieński—tylko sam chyba stanę do księcia kanclerza. Jądem do niego po...

Książę Heronim ruszył się jakby on także chciał uczynić krok jaki, ale wejrzenie wojewody go wstrzymało.

Radziwiłł z obojętną dumą nawet nie patrzył już na biskupa. Układy nie zdawały się go obchodzić. Wszystko już groziło zerwaniem, gdy od Fleminga nowa nadeszła karteczka.

Ze strony księcia nalegali jego przyjaciele, wojewoda znudzony począł mięknąć.

— Jedź-że mój księże biskupie—rzekł—i powiedz, że ja im ustępuję pierwszego kroku, niech powiedzą czego chcą, czem ich mogę zaspokoić. Ja od nikogo nie nie potrzebuję, bo mam za sobą *legalitatem*, a oni warcholą. Jak kapryśnym dzieciom, aby nie krzyczały ustąpić im potrzeba.

Jedź księże biskupie.

Krasieński nie dał sobie mówić dwa razy, skinął na kasztelana i ruszyli do karety w chwili, gdy książę wina podać kazał i miała się solenna rozpocząć pijatyka, o której wyrokować nie było można, czy się skończy dziś, jutro, lub za trzy dni, gdy wszyscy będą leżeć bezprzytomni.

Nie było dwu dworów mniej do siebie podobnych, nad księcia kanclerza i księcia wojewody. Radziwiłł reprezentował stary obyczaj, stare państwo, lepsze czasy, Czartoryski był wcieleniem myśli Konarskiego, na pół kosmopolitą, propagatorem reform, zwolennikiem oświaty, i duchownego związku z zachodnią Europą.

Na oko nawet wszystko się różniło na tych dwu dworach, choć Czartoryski całkiem swojego polskiego na europejski sposób przerobić nie mógł. Widać tu było jeszcze kozaków nadwornych, bojarów, dworzan po polsku ubranych, ale obok nich peruki, francuskie fraki, szpady, stroje, przeważały i szły przodem.

Język też francuzki był tu niemal tak używanym jak polski. Cudzoziemców kręciło się wielu.

U Radziwiłła można się było sądzić gdzieś na wschodzie, u księcia kanclerza przypominał się Paryż. W kardynalii napijano się ciągle, strzelano, wyprawiano huczki, około Czartoryskich cicho było, ludzie chodzili karni i posłuszni.

Sam książę kanclerz, miał postawę i rysy twarzy wielce arystokratyczne, a wychowanie i życie uczyniło go typem magnata czującego swą siłę i dumnego nią. Radziwiłł się ubiegał za popularnością, Czartoryski ją sobie lekcewał. Podechmieliwszy sobie, panie kochanku, czasem pana brata widział w szlachcicu, choć gdy mu się on sprzeciwił, bił go na kobiercu. Książę Czartoryski szlachtą ubogą i ciemną posługiwał się, ale się z niej wyśmiewał.

Fleming, swój typ niemiecki, zachował nienaruszonym i był poprostu śmiesznym, ale czuł także siłę jaką miał i dumny był a opryskliwy.

Biskup Krasiński zastał ich obu razem, w towarzystwie pułkownika Puczkowa sprowadzonego na to, aby był naocznym świadkiem wypadków i zdał sprawę Imperatorowej. Pułkownik średnich lat mężczyzna, powierzchowność miał dosyć przyjemną, i więcej przypominał salonowego dworaka niż żołnierza.

Gdy biskup w progu się ukazał, Puczkow, czując że zawadzać może, pożegnał ks. kanclerza.

Po wyjściu jego Krasiński łamiąc ręce zawołał.

— Mości książę, nie rozumiem co się stało. Miałem przyrzeczenie, że ktoś będzie zesłany do układów, czekaliśmy.

— Ja czekałem także — odparł książę szorstko. — Pierwszemu mnie zabiegać i prosić o pacyfikację nie przystało. Czekam co mi książę wojewoda zaproponuje.

— A on oczekuje jakie książę postawisz warunki pokoju — rzekł biskup.

Fleming i kanclerz spojrzeli na siebie.

— Przybywam się dowiedzieć w imieniu wojewody. Czartoryski się przeszedł po pokoju, milczał.

— Idzie o zapobieżenie przelewania krwi braterskiej, o uniknięcie wojny domowej.

— Wszystko to słyszeliśmy—odparł kanclerz.

— Pierwsza rzecz — począł śpiesznie Fleming po francuzku—wojsko to rozpuścić, którem grozi.

Kanclerz dał znak ruchem ręki aby mówić po-przestał, nastąpiło milczenie.

Służący wszedł z biletem na tacy, który Czartoryski czytać zaraz zaczął zapominając o biskupie.

Brzostowski tymczasem do Fleminga i odciągnąwszy go na bok, żywo mu coś kładł w ucho. Zawołano pisarza z kancelaryi i książę jakiś interes obcy ekspedycyował, pozostawiając biskupa w oczekiwaniu. Krasieński potrzebował całej swej siły moralnej, aby się pohamować i nie wybuchnąć. Wtem kanclerz siadł i zwrócił się do niego.

— Niech to będzie dowodem powolności z mej strony, że ulegam namowom waszym i gotów jestem z księciem wojewodą traktować.

— Zbierzemy się gdzie w miejscu neutralnem, tylko nie u wojewody.

Krasieński, który miał obszerny lokal, chociaż w klasztorze, zapraszał do siebie.

Zgodzono się na to.

— Im mniej mamy radzić, aby to poszło łatwo—rzekł biskup — tem bym życzył rozpocząć wcześniej.

Zaczęto roztrząsać możliwość godziny dziesiątej. Dla księcia, była ona zawczesną. Zgodzono się na jedenastą.

— Tymczasem ja moje warunki pacyfikcy czar-no na białem spisać każę—wtrącił kanclerz—aby po-tem nie obgadywano mnie, żem niemożliwych rzeczy pragnął.

Straciwszy tu czas na słuchaniu uskarżań się, wy-rzutów, szyderstw ze stronnictw króla, przycinków do Brühla, i t. p. Biskup zmęczony siadł do karety.



Kasztelan Brzostowski stał we drzwiach książęcych.

— Ja nie widzę potrzeby towarzyszenia ks. biskupowi—odezwał się—zrobiliśmy co się dało zrobić, idzie o to abyś W. Pasterska Mość raczył o tem zawiadomić wojewodę. Ja zbyt cennym byłbym jako pośrednik, a jako świadek nie jestem potrzebny.

Nie nalegał Krasiński, znużony, zasunął się wgłąb powozu i konie ruszyły.

Wieczór już był późny bardzo, ale miasto nie myślało o spoczynku. Nie było w niem prawie okna ciemnego, konni, powozy, piesi, przesuwali się po poddomami. W niektórych kamienicach na dole szynki, w których głębi widać było ścisk tłuszczy i słysząc krzyki, brzmiały muzyką dziką.

Przez okna tu i owdzie nie pozamykane okiennicami, na jasnem tle szyb ciemne wily się cienie jakicś, postaci dziwacznych.

Biskup roztargnionym wzrokiem spoglądał na ten obraz mieniący się coraz, podobny do snu gorączkowego. Niecierpliwy był już stanąć w kardynalii i dzień ten utrapiony zakończyć wezwaniem do upragnionych traktatów.

Kardynalię zdaleka można było rozpoznać. Otaczały ją kupy ludzi stojące na ulicy dokoła i przypatrujące się wyjeżdżającym i wjeżdżającym. Mówiono w tych tłumach, że książę miał wyjeżdżać sześciami niedźwiedziami na miasto, inni utrzymywali, że wyjedzie nago, na srebrnej beczce jako Bachus i t. p.

Najniedorzeczniejsze plotki trzymały ciekawych tu, przysłuchujących się wrzawie dochodzącej tu ze wnętrza.

Nie było wątpliwości, że ucztowano u wojewody, a tam się rzadko biesiada kończyła bez jakiegoś wybuchu. Karetą ks. Krasińskiego z wielką trudnością mogła się zbliżyć do bramy, potem dopiero za pomocą czeladzi wojewody, która niemiłosiwie rozpędzała

ciekawych, wtoczyła się w oświecone wrota i ogromne sieni tak pełne ludu jak ulica.

Tu wesołość panowała jak zwykle po chmielu, a z beczek piwnych czerpano jeszcze.

Biskup Krasiński wysiadł do tej samej sali, w której rano oczekiwano konferencyi, ale tu nikogo nie było. Na krzesłach w kącie spało kilku dworzan już doprowadzonych do tego, że dłużej na nogach się utrzymać nie mogli.

Przez drzwi otwarte widać było cały szereg pokojów, mniej więcej pełnych gości, a w końcu rześisto oświecone stoły, przy których wojewoda przyjmował.

Tu naprzemiany panowało milczenie, po którym następowały wybuchy śmiechów i krzyku.

Biskup wstrzymał się zamyślony, czy mu wypadało w sprawie ważnej przystąpić do tak mało przygotowanych do niej ludzi, ale miał nadzieję, że kogośkolwiek znajdzie trzeźwym i będzie mu mógł zdać to z czem przychodził. Czasu nie miał do stracenia. Zbliżył się więc do książęcego stołu gęsto obsadzonego towarzystwem, które w kielichy potraçało i wypróżniało je ochoczo.

Szło o to aby napatrzeć kogoś, z kimby rozmówić się było można.

Rozmyślał jeszcze gdy uczuł, że go ktoś pochwycił za rękę. Był to młody Rzewuski, na którego twarzy wesołej ale nie okazującej skutków upojenia, malowało się szyderstwo i lekceważenie tego towarzystwa, w które był wmięszany.

— Al Księżę biskupie — zawołał — przybywacie zapóźno, myśmy wszyscy już pod hełmem, a do nas się teraz dostroić trudno.

— Ale ja przychodzę w ważnej sprawie — przerwał biskup — chciałbym ją tylko zdać komu, pomóżcie mi proszę.

— Wiem! wiem! odparł Rzewuski, ale nie widzę kogobym mógł nastreczyć, wszyscy, nawet Narbutt. Podniósł się na palcach, szukając oczyma. Krasiński

stał niemal zrozpaczony. W tem książę wojewoda, który mały kieliszek trzymał w rękach naprzeciw światła i lubował się bursztynową barwą zawartego w nim wina, trafem rozeznał naprzeciw siebie stojącego biskupa i żywo się poruszył. Na każde poruszenie jego baczni przybocznicy, powstałi z krzeseł, pytając niespokojnie co rozkazuje.

— Nic, dajcie mi pokój, muszę iść.

Rozstępowano się szeroko, a Radziwiłł raźniej i pośpieszniej niż się po długiem zasiedzeniu można było spodziewać, przysunął się do biskupa, który szedł na jego spotkanie.

Ujął go pod rękę.

Tuż był przyciemniony gabinet, który tylko oświecała jedna alabastrowa lampa. Nie było w nim nikogo, oprócz Morawskiego koniuszego, który drzemał.

— A cóż panie kochanku? co? — zaczął książę.— Czego oni chcą? szybki z okna, czy kafelka z pieca?

— Jeszcze nie wiemy—rzekł biskup—ale nareszcie mamy obietnice, że jutro swe żądanie do mnie przyniosą, gdzie książę będzie łaskaw posłać kogo od siebie, aby mógł się ułożyć.

— Tak to łatwo—zamruczał książę i zadumał się chwilę.—Różne to są konsyderacye. Trybunału w ich ręce dać nie mogę. Majeritas przy mnie musi być, ale niemiłych im ludzi gotówem sakryfikować. Rosjan bym sobie na kark nie rad, a Puczkow mi siano i owies może wszystek wyjeść. Bić się też, gdyby z Sasami z Niemcami, to tam jeszcze pół biedy, ale ze swemi... Koniec końców, coś się im ustąpi, ale sza! sza!

Palec przyłożył do ust książę.

— W jakimże oni usposobieniu.

Skrzywił się biskup.

— Książę kanclerz twardy—rzekł.

— Im słabszy pędzie, tym stwardnieje mocniej—wtrącił wojewoda.

— Kogo książę pośle?—spytał Krasiński.

Wojewoda utopił wzrok w podłogę, jakby na niej kogoś szukał.

— Na węzełki chyba pociągnę—rzekł—sam nie wiem. Zobaczę.

Krasiński nie nalegał już, po kilkakroć powtórzył godzinę i miejsce w klasztorze oznaczone.

— Cóż myślicie? będzie co z tego?—spytał książę.

— To zależy od was, mości książę. Jeżeli jest dobra wola utrzymania pokoju.

Nie było na to odpowiedzi, Radziwiłł westchnął, kazał sobie i biskupowi przynieść po kieliszku starego wina, otarł pot z czoła i usiadłszy na kanapie, pomrukując coś—usnął.

Krasiński, który ciągle go miał za zamyślonego mocno i odpowiedź gotującego—osłupiał. Posądzał go o udawanie, lecz ten był jak najszczerzy, książę chrapał i opadłszy na siedzenia poręcz, spoczywał po trudach dzieńnych.

Nie pozostało biskupowi jak oddalić się po cichu, bo rychło przebudzenia nie było się co spodziewać.

Wyszedł mocno znękanym tem niepowodzeniem. W progu spotkał go młody Rzewuski.

— Nie mogę ani sam księciu przerywać — rzekł do niego — ani czekać aż się przebudzi. Godzina późna. Będziecie łaskawi jutro przypomnieć wojewodzie moję z nim rozmowę i proście aby mi dotrzymał słowa, jeżeli o wszystkim nie zapomni.

— O to się nie macie co obawiać — rzekł Rzewuski—jeżeli chce pamiętać, będzie, ani mu przypominać trzeba.

Krasiński się już miał oddalić, gdy ciekawi, którzy na niego czatowali, zbliżyli się biorąc między siebie.

Szło wszystkim o dowiedzenie się jaki nareszcie koniec będzie tych wojennych przygotowań. Nikt pono nie życzył sobie katastrofy i wojny domowej.

Biskup o tyle mógł uspokoić ich, że w nikim zbytniej nie widział porywczowości do boju.

— Książę nasz — odezwał się Narbutt — na krew bratnią też nie nastaję, ale ości Radziwiłłowskiej broni i całą ją konserwować musi. Nie trzeba go do ostateczności doprowadzać.

Gotują infaminujące przeciwko niemu manifesty, to wiadomo, w których go gwałtownikiem, szermującym prawami, czynią. Chodzą z rąk do rąk już te skryptury, o których daj Boże, aby się nie dowiedział, bo by je pisząc za atrament krwią płacić musieli.

— Nic o nich nie wiem — odparł biskup.

Rdułtowski obejrzał się dokoła powoli i ostrożnie wysuwając zwitek papieru z kieszeni.

Skupiono się wokół niego, cisza nastała. Rzewuski pobiegł się upewnić, że wojewoda śpi.

Arkusz cały zapisany gęsto trzymał Rdułtowski, na który zewsząd oczy się zbiegały, przeczytał z niego kilka ustępów dotyczących się więcej miecznika niż wojewody, jakoby kontempt praw wszelkich swoim postępowaniem dowodzącego, gdzie go Katyliną i nieposłusznym Majestatowi króla i Rzeczplitej czyniono. Wstrzymał się jednak wkrótce, widząc oburzenie przyjaciół wojewody i obawiając się, aby mu manifestu nie wyrwano z rąk... schował go głęboko za żupan na przodzie

Stali niektórzy z ichmościów prawie powytrzęwiani wrażeniem, jakie na nich manifestu ułamki uczyły. Odgrążano się, pragnąc imię autora dosłedzić, a Rdułtowski dodał.

— Gdyby do wiadomości księcia to doszło, nie skłoniło by go pewnie do ustępstwa, ale do zemsty pobudziło.

— Zatkanby mu gębę tym papierem — zawołał Wojniłowicz — aż by się własną niepoczciwością udusił.

Wykrzykiwać zaczęto tak, że nareszcie i wojewodzie sen przerwano.

Wstał przecierając oczy i dopytując o przyczynę



tej wocyteracyi, ale mu jej nie powiedziano, składając balas na doskonałe wino, które tak szumieć zwykło, gdy się do dobrych głów dostanie.

Byłaby może skończyła się snem tym biesiada, gdyby wojewoda czując się po krótkim spoczynku orzeźwionym, nie zażądał, *de noviter repertis* z innej beczki począć libacyi.

Posłano z rozkazem aby nowe gąsiorki na stół przyniesiono, do których zażądali inni przekąski, tak że na nowo nakrywać i podkurek zastawiać musiała służba.

Lekka ta przekąska oprócz wędlin, wódek, pierników, słodyczy, dla poważniejszych żołądków, musiała fundamentalnych dostarczyć pułmisków, pieczeni cielęcych i baranich, zrazów i bigosu, który z wielkim aplauzem powitano.

Księżciu on przypomniał łowy i śniadanie w lesie, ztąd zaraz rozmowa się zawiązała o ostatnim niedźwiedziu postrzeżonym w Nalibokach, który psiaczowi skórę, z czaszki zdrapał, ale zdrowy chłop wygoił się; tyle tylko, że grubszej czapki używać musiał.

Posypały się anegdoty myśliwskie, które na czas jakiś o kanclerzu, o Czartoryskich, o wszelkich utrapieniach zapomnieć dozwalały.

Nic dziwnego, że przy bigosie i nowych kieliszkach, na podkurku czas tak zszedł niepostrzeżony, iż po klasztorach na Jutrznię dzwoniono, gdy książę poszedł do łóżka.

Z gości znaczniejsza część do domów się nie rozjeżdżając, w kardynalii mieściła się jak mogła. W sali narzucono siana i słomy, po pokojach kanapki i krzesła zużytkowane zostały.

Młody Rzewuski, który na siebie wziął, księżciu wojewodzie przypomnieć, iż posłów od niego biskup oczekiwać będzie na jedenastą, zasnął też snem młodych i sprawiedliwych.

Nikt nie śmiał zrana budzić znużonych i godzina



dziesiąta biła a wojewoda nie wstał jeszcze i Rzewuski się dopiero przebudził.

Przypomniął on sobie natychmiast przyrzeczenie swoje, ale spełnić go nie mógł. Książę spał, a gdy począł wołać na służbę, blisko już jedenastej było.

Następowały zwykle ranne obłucje i pierwsze śniadanie, modlitwy, potem raporta pilne, i Rzewuski nie dostał się do wojewody, aż po czasie.

— Mówił mi wczoraj ksiądz biskup Krasiński — rzekł po przywitaniu — iż mu Książę kogoś wysłać przyrzekł na jedenastą godzinę.

— Hm! — odezwał się książę — w istocie tak jest, ale do jedenastej daleko.

— Nie przyjdzie wcześniej jak za godzin jednaście rozśmiał się Rzewuski.

Książę podniósł oczy na zegar.

— Zaspaliśmy — rzekł spokojnie — niema w tem nic złego, że na siebie czekać damy.

— Jedźże Asindziej sam do niego i tłómacz się jak chcesz, a żądaj aby Czartoryscy swoje *desiderata* przysłali na piśmie. Więcój tam do czynienia niema nic.

---

Hetmanowa rada była, że mężowi towarzyszyła do Wilna, bo jej zawsze życie miejskie lepiej smakowało niż Wysokie litewskie, które pustynią nazywała. Tym razem jednak wiele ją tu rzeczy niecierpliwiło i przyprowadzało do złego humoru.

Naówczas mąż pokutować musiał.

Zawczasu już roztrząsano nadzwyczajnej wagi kwestję, czy miał wedle prawa i zwyczaju hetman polny dać żołnierzy do utrzymywania warty przy Trybunale. Hetman wielki albo mniejsza buława była do tego obowiązana.

Massalski otwarcie oświadczył z góry, że gdyby do ufundowania Trybunału przyjść miało, co się zdawało więcej niż wątpliwem, on straży nie postawi.

Wiedział o tem panie kochanku, ale na cioteczne-go brata, hetmana polnego Sapiehę rachował, iż ten mu jej odmówić nie może.

Pomimo tak blizkich stosunków familijnych nie widywali się teraz często. Sapieha pod kierunkiem żony będący, unikał wojewody, a Radziwiłł dla hetmanowej, której nie lubił, nie śpieszył do brata.

Jednakże o tę straż dla Trybunału zawczasu się trzeba było upewnić.

Posłał dla wyrozumienia Wojniłowicza.

Hetman Sapieha za miękkiego człowieka uchodził i giętkością umysłu się nie odznaczał, ale gdy mu potrzeba było się wykręcić, miał szczęśliwe instynkta.

Wojniłowicza, gdy o straży wspomniał, wyrozumiawszy, iż dla niej przychodził, zagadał zaraz jego własnymi interesami, o których wiedział że one go obchodziły gorąco. Poczęli więc o nich rozmowę i straż Trybunałska na boku została, bo później więcej osób nadeszło.

Książę nic się nie dowiedział, ale tegoż dnia Sapieha do żony przyszedł, jak był zwykł, poufnie chcąc się naradzić.

Hetmanowa miała sposoby różne rządzenia mężem. Pierwszy był, iż mu insynuowała, to czego sobie życzyła, tak iż sądził, że czynił wedle własnego natchnienia to, co ona mu podyktowała.

Często nawet dla niepoznaki udawała, że jest przeciwnego zdania, i że się poddaje posłusznie woli męża.

Ale, gdy nie miała czasu, a niecierpliwiła się, pilno jej było, wówczas wprost wstępny bojem brała męża, i dysputowała jak ma postąpić.

W razie oporu i scysyi napadały ją wapory, mdłości, serdeczny śmiech, a wówczas wojewoda het-

man na klęczkach całując nóżki, przepraszał i rozkazom czynił zadosyć.

Nad położeniem męża w tej sprawie Radziwiłłowskiej, medytowała hetmanowa długo.

Hetman był związany pokrewieństwem z wojewodą i nie rad był go sobie narazić, ale z drugiej strony ściśle stosunki łączyły go z rozmaitemi osobami przeciwnego obozu. Niewypadało mu więc ani dla jednej, ani dla drugiej strony okazać się powolnym, musiał zostać neutralnym, a winę składać na ludzi i okoliczności, które go zmuszały powstrzymać się od czynnego udziału w tym sporze.

Może za skłonnością swą idąc, byłby popierał Radziwiłła, ale wiedział, że żona nie pozwoli na to. Należało się z nią rozmówić poufnie w tym przedmiocie. Wojewodzina też upewnić się pragnęła, że mąż jej nie da się skłonić do wyraźnego poparcia wojewody.

Gdy hetman wszedł do pokoju żony, która jeszcze okryta pudermantlem odpoczywała, zastał ją chmurną i smutną. Pocałował ją w czoło, w rękę i usiadł przy niej zapytując o zdrowie.

— Niepodobna być zdrową—odparła hetmanowa.—Lubię życie, ruch, wesołość, nie cierpię nudów i milczenia, mam ich dosyć w Wysokiem, ale tu znowu wrzawa, prawdziwe piekło. Po ulicach strzelają, biją się, ścigają i coraz o jakiejś nowej dowiadujemy się awanturze.

Hetman odparł.

— A potrzebaż ci było, duszko moja, do Wilna się wybierać! Mówilem i przestrzegałem, że tu spoczynku ci nie dadzą.

— Obawiałam się cię samego puścić—dodała piękna pani, patrząc we zwierciadło.—Masz nadto dobre serce, ludzie z tobą robią co chcą, a ty potem za cudze błędy pokutować musisz.

Sapieha słuchał znajomych już sobie zdawna wyrzutów tych.

— Nie jestem tak dobroduszny i powolny jak są-

dzisz — odparł hetman — a tu właśnie *casus* taki, że potrzeba energii. Radziwiłł wiele wymaga, a nie wszystko po jego woli pójść może.

— O cóż to chodzi? — spytała księżna.

— O bardzo wiele rzeczy — mówił hetman. — Wiesz jak blizkie nas łączy pokrewieństwo, chce tedy, abym ja z nim szedł, gdziekolwiek on pójść zamarzy.

— Spodziewam się, iż sam widzisz jakim to jest niepodobieństwem — przerwała hetmanowa. — Książę Karol, dzięki ludziom, co mu bębenka podbijają, głowę sobie zalewa, szaleje, unosi się, naraża całemu światu, ale on zawsze sobie da radę w końcu ma czem sypnąć i usta zamknąć, a ci co mu pomagają, padają ofiarą.

— Słowo w słowo to mówiłem wczoraj — rzekł Sapieha. — Zdaje się, że trybunał, mimo Czartoryskich będzie ufundowany, choćby przyszło do krwi rozlewu, ale zamiast krwi — poleje się atrament. Wiadoma rzecz, że trybunałowi należy się warta honorowa, którą hetmanowie dostarczyć powinni. Hetman Massalski wprost oświadcza, że jej nie da. Cóż tedy? obróć się do mnie, abym ja ją przysłał. Nie mam żadnego pozoru dlaczego bym jej miał odmówić.

Hetmanowej usta się ścięły mimowolnie z gniewu wyprostowała się dumnie.

— Jaktol myślisz mu wartę postawić?

— Przepraszam cię, myślę jak nie postawić, ale dajże mi na to sposób — odparł Sapieha.

Księżna wsparła się na łokciu i dumiała.

— Narażę sobie Radziwiłła, to nieunikniona, ale się później da przejednać, o to mniejsza, rzecz główna dlaczego ja mam mu tego odmówić co się każdemu Trybunałowi należy? Dlaczego.

Zadawszy to pytanie, na które w istocie odpowiedź była trudna, hetman wstał i poszedł drażnić ulubioną żonę papugę, którą zawsze przyprowadzał do złości.

Księżna zadzwoniła i kazała nakryć klatkę. Nie odpowiadała nic.

— Jesteś pewny, że trybunał stanie? — zapytała męża.

— Tak się zdaje nie mnie samemu, ale wszystkim—mówił Sapieha.—Czartoryscy sił do postawienia przeciwko wojewodzie nie mają, primo, zresztą sami nie chcą na żadną zgodę i pojednanie przystać, rezerwując sobie przyszłość.

— Krasieński ma nadzieję ich pojednać.

— Nie zna ani Radziwiłła ani Czartoryskich.

— Sądziś więc?

— Trybunał stanie—zaśmiał się hetman—i warta będzie potrzebna. Poślą do Massalskiego, który naturalnie odmówi. Przyjdzie kolej na mnie. Dlaczego bym ja miał nie dać warty honorowej, nie wiem.

— Rzecz bardzo prosta — żywo poczęła wojewodzina — nie dasz dla tego, że hetman wielki jej nie dał... Wprost jego przykładem się zasłonisz. Honor ten nie należy ci, nie chcesz go uzurpować, ani sobie przywilejów nienależnych przywłaszczać.

— Hm—rzekł zadumany Sapieha—słaby to argument.

— Owszem, najmocniejszy.

— A co gorzej—dodał Sapieha—że wnosząc z tego potem, możnaby sądzić, iż hetman polny podległy jest hetmanowi wielkiemu i od niego zależy. Spostponują moją buławę.

— To w istocie na konsyderacyę zasługuję—odpowiedziała hetmanowa—a bądź co bądź, ja nie jestem za tem, ażebyś mu dawał wartę i okazał się też sługą Radziwiłłów. Buława na tem nie zyszcze, a ty stracisz. Winienesz okazać się niezależnym od nich. Radziwiłł ma więcej pieniędzy, ale Sapieha taki dobry jak on.

— To nie ulega wątpliwości — potwierdził książę prostując się i dumniejąc.

— Argumentów znajdzie się na obronę dosyć — dodała księżna—ale z góry to sobie powiedz, iż warty dać nie możesz.

— Tak, ja to widzę, iż nie mogę—szepnął Sapieha — ale potrzebuję czegoś na czem bym się oparł. Zerwać z Radziwiłłem groźna rzecz, naprzód wiesz, że on na wszystko gotów, nawet i do szabli, gdy sobie podpije, a teraz pije, jak nigdy. Powtóre z Radziwiłłem się podrapać to nic, ale on, to połowa Litwy. Kto nie z nim, ten jest przeciw niego, na każdym kroku grozić coś będzie.

— Pytam się co zyskałeś na jego pokrewieństwie i przyjaźni? — zawołała księżna — ani nawet antałka wina.

Pomileczała chwilę księżna dając się wysapać mężowi, chodząc i on zadumany głęboko.

— Czekajmy jaki obrót wezmą sprawy — odezwała się głos zniżwszy. — Ja ci nic nie chcę narzucać i dyktować, postąpisz jak ci własne przekonanie doradzi, ale nie trzeba się z deklaracją żadną śpieszyć, a księcia unikać, ażeby się nie związać łaďa pół-słowem.

Widać było, że powolności tej małżonka hetmana była bardzo rada, spodziewała się, począwszy tak zręcznie, poprowadzić sprawę warty do pożądanego końca. Nie potrzebowała nawet gwałtownie występować przeciwko panu wojewodzie, co zawsze potem na Sapiesze przykre zostawiało wrażenie. Znał go bardzo dobrze i wszystkie jego przywary, ale zarazem kochał i nie rad był z nim zrywać.

Wyprosiwszy męża, gdyż czas ubierania się nadchodził i godzina, w której przyjmowała wizyty. Księżna pospieszyła z tualetą i zaledwie rogówkę wdziała, posłała po Tołoczkę, któremu nowe chciała dać instrukcye i dowiedzieć się czegoś od niego. Dwa razy na dzień co najmniej, rotmistrz musiał się stawić do niej, a pilno spełniał swą służbę, bo mu panna Aniela codzień więcej przypadała do smaku i na interwencyi protektorki największe pokładał nadzieje.

Tołoczko już był w mieście i pozbierał plotki.

— Jak stoją układy z Czartoryskimi? — spytała go niecierpliwie.



— Wczoraj nie doszły—odparł Tołoczko—a książę pił potem do rana ze swemi. Dziś Czartorysey podadzą swe żądania.

— Nie wiesz jakie?—ciągnęła dalej.

— Wiem tylko, iż niepomierne będą wymagające—rzekł Tołoczko.--Ponieważ na księcia hałas jest wielki, że siłą i gwałtem wszystko chce poczynić, więc Radziwiłł coś może ustąpi, aby dać dowód królowi, iż mu był posłusznym i zgody życzył, ale wszystkich warunków nie przyjmie.

Zbliżyła się do rotmistrza.

— Pamiętajcie przy każdej zręczności hetmanowi to wpajać, że warty do Trybunału dać nie powinien. Pomyśleliby ludzie, że jest sługą księcia wojewody. Nie chce dać Massalski, nie powinien dawać Sapieha.

Tołoczko się skłonił.

— Wczoraj, zdaje się dla wietrzenia tu przyjeżdżał Wojniłowcz, chcąc wyrozumieć hetmana, ale pono mowy nawet o tem nie było.

Książę jest ostrożny.

Rozśmiała się żona i ramionami poruszyła.

— A! gdyby nad nim nie czuwało — rzekła — co chwila by nam figle płała. Dobry jest i łagodny do zbytku, a tego nieznosnego wojewodę weneruje choć on sobie drwi z niego.

— Mój rotmistrzu—dokończyła śpiesząc się hetmanowa — biegnij proszę, abyśmy wiedzieli jak stoją układy.

Tołoczko nisko się skłonił i zniknął.

Przyczyna, dla której pani hetmanowa tak się na pokoje spieszyła było, iż się pożądanego bardzo gościa spodziewała. Płocha i zalotna, a od dzieciństwa nawykła co najmniej jedną jakąś miłością zabawiać się, hetmanowa nie miała serca, nie kochała męża, nikogo z tych, którym zawracała głowy, ale sama głową i fantazją roznamiętniała się czasami. Naówczas potrzeba było cudu, ażeby się nie narażała na złe

języki, na zazdrość męża, na potwarze i tysiączne nieprzyjemności.

Wszystko to gotowa była znieść, byle postawić na swoim i tego kogo zamierzyła mieć u stóp swoich, zmusić do zdania się na łaskę. Serce w tem najmniej miało udziału, ale miłość własna nabawiała ją szaleńcem niemal, gdy spotykała trudności.

Płochę te miłości, które zwykle nie trwały długo, nie wyprowadzały jej nigdy z tego świata arystokratycznego, w którym żyła. Ci ulubieńcy, którymi się chlubiła, należeli wszyscy do największych rodzin, do najwytworniejszego świata, do młodych gwiazd dworu i stolicy. Byli to zwykle ci ulubieńcy mody, którymi zajmowali się wszyscy, o których serca dobijały się wszystkie piękne panie. Pokonanie trudności, odebranie rywalce, grało tu także wielką rolę.

Do tych najświetniejszych zjawisk owego czasu należał głośny już z miłostek wysoko sięgających, siostrzeniec Czartoryskich, stolnik litewski Poniatowski. Wracał on właśnie z Petersburga i znajdował się w Wilnie.

Oczy wszystkich kobiet zwracały się ku niemu. Piękny miły, dowcipny, francuz wychowaniem, sukcesami w sercach niewieścich słynął już od Paryża począwszy do północnej stolicy. Wrócono mu wielką i świetną przyszłość.

Opiekowała się nim oprócz wujów, przywiązana do niego wielce ciotka hetmanowa Branicka — i co tylko z kanclerzem i Czartoryskimi było w stosunkach.

Sapieżynie dosyć go było spotkać parę razy, aby wielkim płomieniem rozmiłować się w ślicznym młodzieńcu i zaprzysiądz, że go zdobyć musi. Szło jej o to tembardziej, że fama głosiła jakoby się kochał już w wojewodzinie Mściśławskiej Sapieżynie, siostrze młodego Branickiego starosty.

Z panią wojewodnicową, hetmanowa była w sto-

sunkach najnieprzyjaźniejszych, nie nawidziła jej, nie cierpiała.

Wyrwać jej stolnika litewskiego było teraz najgłówniejszem zadaniem, dla którego gotową była wszystko poświęcić. Ku temu celowi zmierzało co tylko czyniła.

Stolnik dawniejszą mając znajomość z wojewodzicową, dotąd jeszcze zdawał się bardziej ku niej skłaniać, ale hetmanowa już umiała go podrażnić, przyciągnąć, zająć tak, iż zaczynał jej szukać i gonić za nią.

Wojewodzina pięknoscią nie mogła się mierzyć z rywalką, ale temperamentem, śmiałością, namiętnością ją przechodziła.

Na przeszkodzie hetmanowej było to, iż w kołach, w których się stolnik obracał, ona na pół była obcą. Ale kobiety niezbyt się pilnowały polityki mężów i rodziny i nie gardziły hołdami z nieprzyjacielskiego pochodzącemi obozu.

Dla spotkania się z stolnikiem, hetmanowa kilka wizyt oddała, nie zważając na to, iż je fałszywie tłumaczyć było można.

I teraz też spodziewała się u siebie osób, z któremi Sapieha stosunków unikał. Głosiła salon swój neutralnym, z którego wszelkie intrygi były wygnane, a wesołość i zabawa w nim królować miały.

Stolnik już raz przechodził się tu nieznacznie, a zastał takie przyjęcie, iż sama wdzięczność do powrotu go zmuszała.

Oczekiwano go z niecierpliwością na Antokolu. Tymczasem zajeżdżały powozy jedne po drugich, a ani młody Branicki starosta halicki, ani on się nie pokazali. Wieczorem zaś przyjmowała u siebie wojewodzicowa — i tam, tam stolnik niechybnie się musiał znajdować.

Hetmanowa zapomnieniem dotknięta do żywego, myślała teraz czy na wieczór do znienawidzonej rywalki pojedzie. Wzdrygała się na tę myśl, ale ni-

gdzie prędzej i pewniej stolnika napotkać nie mogła, gdy tak bardzo widzieć go i mówić z nim potrzebowała. Z poddaniem się losowi swemu, postanowiła przewyciężyć się, jechać, a potem pomścić okrutnie. Stolnika się wyrzec było dla niej tem, czem wyrzec się życia. Niw teraz żyła tylko!...

Panie, co ją tego ranka odwiedzały, mogły poznać po twarzy, wejrzaniu, głosie, że coś ją do najwyższego stopnia wzburzyło, lecz tyle mieć mogła powodów niepokojenia się! Nikt nie odgadł tajemnicy.

Dla stolnika Poniatowskiego, który całą swą młodość niemal spędził z cudzoziemcami, zagranicą, we Francyi, Anglii, Dreźnie i Petersburgu, kraj własny był ciekawą i nową kartą. Słyszał o nim wiele, widział go bardzo mało.

Burzliwe to fundowanie Trybunału było dla niego pierwszym praktycznem studjum obyczajów i ludzi. Z niezmierną ciekawością jechał do Wilna, a że się tu spodziewano i lękano nawet walki i krwi przelewu, pani hetmanowa Branicka łapała wszystkich z Litwy do Białegostoku przybywających, dowiadując się, czy ukochanemu siostrzeńcowi się co nie stało.

Stolnik, jakkolwiek mocno zajęty tym dramatem, zdaje się, że nie miał najmniejszej ochoty grać w nim czynnej roli. Francuz strojem, szablą nie władał i w zajścia kontuszowe wdawać się nie myślał. Ale z młodzieńczą ciekawością patrzył na ten świat znany sobie tylko z opisów i tego co się czasem pokazywało w Wołczynie.

Nie dziwi też, iż w dniu, w którym wszyscy podglądali i nasłuchiwali co się dzieje i transpiruje od księdza biskupa Krasińskiego, on ze starostą halickim objeżdżał piękne panie i domy, w których młodych spodziewali się twarzyczek.

Po drodze stolnik napomknął o Antokolu, ale starosta miał do siostry instrukcyę: „Gdzie zechcesz, tylko nie wiedz go do hetmanowej. Ta niepocziwa zalotnica poprzysięgła mi go odebrać.“ Pomiedzy siostrą

a bratem związek był jak najczulszy, jak najściślejszy. Wojewodzicowa ratowała go, gdy się zagrał w karty, on służył jej za posła do tych, z którymi potrzebowała, a nie mogła się zbliżyć. Rozkaz jej był dla starosty ważniejszym nad wszelkie inne względy.

— Na Antokol—podchwycił—zmiłuj się, wszak to za światem, a hetmanowa już dziś po tylu przebytych przygodach, nie może być tak ponętną, aby dla niej odbywać podróż. Uwolń mnie i siebie od Antokolu.

— Nie mogę, kochany starosto—odparł stolnik—winienem hetmanowi odwiedziny, które mi dziś wuj przypomniat, nie do niej jadę, ale do niego.

— Nie zastaniemy go—odparł Branicki.

— To właśnie pobudka, ażeby jechać teraz i wpiąć mu się tylko, nie narażając na nudną z nim rozmowę.

Zamyślił się Branicki.

— Więc u hetmanowej nie będziemy—zapytał.

— Zapiszemy się u niej i u niego—powtórzył Poniatowski.

— Zdaje się, że nas nie zje! — rzekł śmiejąc się stolnik.

Godzina wizyty była spóźniona i dla tego już się przestała spodziewać hetmanowa upragnionego gościa, gdy powóz się przed ganek zatoczył. Hetmana nie było w domu, ale usłużny kamerdyner oświadczył głośno, iż księżna pani jest w domu i przyjmuje.

Branicki skrzywił się, pewien, że go spotka ostra od siostry wymówka, lecz nie było sposobu zapobieżenia. Weszli do salonu...

Potrzeba było widzieć uszczęśliwioną hetmanową, która wybiegła na spotkanie stolnika, zaledwie spojrziała na starostę, pochwyciła Poniatowskiego i porzucając Branickiego samego, zdobywcę uniosła z sobą do gabinetu.

Zły i kwaśny ciągnął za niemi Branicki.

— Cóż to za szczęście—szczebiotała paląc go oczyma księżna—iż pan stolnik raczyłeś nas sobie przy-



pomnieć. Doprawdy! nie wiem jak mu dziękować... i gdzie ten dzień zapisać.

— Ja wiem, że go na wdzięcznem sercu zapiszę— odparł Poniatowski. — Jestem tak nieświadomy obyczaju, godzin, iż nie śmiałem pochlebić sobie, abym miał szczęście zastać panią hetmanowej. Sprzeczałem się o to ze starostą.

— Który utrzymywał, że mnie niema? nieprawdaż—śmiejąc się złośliwie, zawołała księżna. — Ale co innego u pani wojewodzicowej, która jest przesyconą towarzystwem i może sobie pozwolić nie przyjmować, gdy ją kto odwiedzić raczy. Ja jestem tak spragniona żyjąc na pustyni...

— Pustyni!—podchwycił starosta—ale sąsiedztwo liczne mają państwo i bardzo dystyngowane.

Na tę uwagę nie odpowiedziała hetmanowa, zalotnym uśmiechem wabiąc Poniatowskiego, któremu żywo coś szeptać zaczęła.

Stolnik też się zapomniał. Oboje wdawszy się w cichą, poufną rozmowę, oddalili się od niego i pozostawili go w pustym salonie na pokucie.

Musiał więc starosta przypatrywać się ogromnemu portretowi Lwa Sapiehy, w karmazynowej delii stojącego u stołu, na którym leżał przywilej z przywiesistą pieczęcią.

Mało go to bawić musiało, gdyż odchrząkiwał ciągle, dając znać o sobie, nie mogąc jednak odwrócić uwagi towarzysza ani pięknej hetmanowej.

Ulitowała się wkońcu nad nim księżna i zwróciła ku niemu.

— Przebaczysz mi, panie starosto—rzekła—że sobie przywłaszczam gościa, którego widuję tak rzadko, a wy go macie codziennie. Mieliliśmy ważną sprawę, bo ja się, wyznaję otwarcie, mięszam do polityki i intryguję okrutnie.

Branicki nie mógł się powstrzymać od złośliwego żartu, którym chciał za lekceważenie zapłacić.

— Za kim-że i dla kogo, pani hetmanowa może



intrygować—zawołał—bo pan hetman spodziewam się starczy sam sobie, a Brühla niema w Wilnie.

Zarumieniła się od gniewu hetmanowa.

— Odgadłeś pan—odparła dumnie—mam w istocie polecenie ministra, aby poruszyć do zgody i intryguję z całych sił za nią.

— A ja jestem za wojną—rzekł Branicki—bo moje powołanie żołnierskie, a wszystkim nam tu tak się sprzykrzyło wojować słowami, że radziłyśmy, aby raz szable rozstrzygały.

— Wracaj pan do Austrii — zawołała księżna—gdzie pierwsze zbierałeś laury.

Stolnik widząc, że obrót rozmowy mógł być niebezpieczny, pospieszył wmięszać się do niej.

— Ja z panią hetmanową głosuję za pokojem i gotówem wpisać się do jej pomocników.

Księżna usiłowała powstrzymać swych gości, lecz starosta dobył zegarka i neliłościwie przypominał znowu godzinę.

— Moja siostra czeka na nas—rzekł—wiedząc, iż tem wspomnieniem dokuczy księżnie, bo był we wszystko wtajemniczony.

— Nie śmiem zatrzymywać panów—odparła hetmanowa—tembardziej, że ich jeszcze dziś spodziewam się widzieć, wybieram się wieczorem do księżnej wojewodzicowej, za którą mi tęskno, tak dawno jej nie widziałam.

Wyplaciwszy się tak staroście, hetmanowa pożegnała gości, a stolnik ucałowawszy białą jej rączkę, rozmarzony siadł do powozu z Branickim.

— Zestarzała bardzo!—odezwał się starosta szydersko, odjeżdżając od ganku.—Nic dziwnego, prowadzi życie bardzo pracowite. Hetmani za męża, mówią, że zastępuje w Warszawie młodego Brühla, w Wysockiem gospodaruje, w Wilnie zasiada w Trybunale, sejmikuje w Wyłkowysku i Słonimie.

Stolnik się uśmiechnął słuchając.

— Ja znajduję, że wygląda na wdowę bardzo

mlodo—odezwał się.—Praca ją widać nie męczy, bo szczęśliwie jest obdarzoną.

— Nie chwał jej tylko przed moją siostrą, bo choć obiedwie Sapieżyne, zdaję mi się, że nie bardzo się kochają.

Stolnik i sam się tego domyślać musiał.

Zwrócili rozmowę i drogę, gdyż zamiast wojewodziecowa odwiedzić, Poniatowski zażądał wrócić do księcia kanclerza, a starosta musiał się zgodzić na to. Sam jednak nie wstąpił do niego i wysadziwszy tu stolnika, pojechał do siostry.

U księcia kanclerza choć na pozór spokój panował, ciche szepty i rozmowy obracały się wszystkie około toczących układów. Oczekiwano ztamtąd wiadomości, która nie nadchodziła. Dziwił się temu książę kanclerz, który znał Radziwiłła i sądził, że odrazu warunki zgody przeczytawszy, zerwie traktowanie o nią.

Były one daleko sięgające i obrachowane na to, ażeby odstręczały. Musiano je wszakże wziąć na uwagę, gdy nie wracali ani ci co z niemi pojechali, ani one.

— Słabszym więc jest książę wojewoda—rzekł—aniżeliśmy go sobie wyobrażali, jeżeli nasze kondycye przyjmuje. Ale co zrobimy, jeżeli się zgodzi na nie? Nie będziemy mieli czem się przed Puczkowem pochwalić.

— Tak—odparł wojewoda—ale zapominacie, że to są nasze warunki, niekoniecznie wszystkie...

Znajdą się dodatkowe.

Księciu kanclerzowi zaczynało być markotno. Choć i pełnomocnicy jego mieli instrukcye jeszcze i wiedzieli o co chodziło, lękał się, aby nie zrobić fałszywego kroku. Niepokój taki nim owładnął, że spojrzawszy na siostrzeńca, powziął myśl wysłania go do Krasieńskiego. Nim jednak usta otworzył, karetka wioząca jednego z pełnomocników stanęła przed domem i on wszedł do pokoju.

Książę zwykle poważny bardzo i panujący nad sobą, tym razem podszedł kilka kroków i z oznaką zniecierpliwienia zawołał po francuzku:

— Ale cóżeście mogli robić tak długo? Chybaście mnie nie zrozumieli? Warunków moich jużście przyjmąć nie mogą i przyjaciół swych poświęcić, pocóż było daremnie dysputować. Posłałem je im, nie żebym się spodziewał przyjęcia, ale dla tego tylko aby były odrzucone.

— Tak—odparł młody starosta, który okazywał po sobie jak był nie rad z obrotu rzeczy.—Tak, myśmmy rachowali na to, że nie przyjmą naszych postulatów, a oni wzięli ich pod rozwagę i jeżeli się nie myślę, zgodzą się na wszystko.

Kancelarz, aż wykrzyknął oburzony.

— Ale to zdrada, wpadliśmy w łapkę. Waćpan wiesz, panie starosto, jaki był plan mój, zerwać, pokazać przed Puczkowem, że tu ich przemoc wszystkiem władą i że my pomocy Cesarzowej potrzebujemy. To być nie może aby przyjęli.

— Owszem, bardzo być może. Chcą tylko w spisaniu układów położyć, że się sakryfikują dla spokoju publicznego, że składają broń przed groźbą wojny.

Rzucił się kancelarz i wojewoda.

— To nie może być — zawołał — żądamy od nich zbyt wielkich ofiar. Sejmik kowieński pacifce się zakończył wyborem Bohusza i Łopacińskiego, a my go za niedoszły mieć chcemy. Na słonimskim obrano księcia Hieronima, który był *designatur* na marszałka trybunałskiego przez nich. Nie może książę brata obrazić.

— I jam tak sądził—odparł przybyły—a jednak wzięto na deliberacyę... i widzę, przeczuwam, że gotowi są do zgody.

Czartoryscy spojrzeli po sobie. Kancelarz wstał z krzesła, na które tylko co się rzucił.

— Ha! jeżeli im tego mało—odezwał się—wymyślimy im coś takiego na co się bez zupełnego zapar-

cia zgodzić nie będą mogli. Nie kończcie w żadnym razie, dawajcie do zrozumienia, iż mogą być dodatkowe żądania uzupełniające. Nie chcę zgody i nawet takiego kulawego pokoju z niemi. Nie mogę paktyzować z warchołami.

— Jakże wam szło?—wtrącił wojewoda.

— Zbyt dobrze jak się okazuje—rzekł starosta.— Książę sam nie występuje, ale skryty gdzieś słucha i wszystkim kieruje.

— To się rozumie!—szepnął Czartoryski.—Im ta zgoda potrzebna, czyni ich wspaniałomyślnymi... mnie ona szkodliwa, bo się okaże, iż malowałem tego diabła czarniejszym, niż jest w istocie.

— Wiedzą, żeś pojechał do mnie? — zapytał w końcu.

— Mogą się domyślać, chociażem inny wynalazł pretekst—odparł starosta.

— Powracaj że. Jeżeli będą skłonni do zgody, przywćz mi spisane jej warunki. Potrzeba tam coś wtrącić takiego, aby się wszystko rozbiło. Rozumiesz mnie.

Drzwi się zaledwie zamknęły za starostą, gdy Czartoryscy pocichu z sobą żywo zaczęli coś roztrząsać. Stolnik pozostawiony na stronie, przypatrywał się atlasowi, który leżał na stronie rozłożony.

— Lękam się, ażeby mnie nie dosyć zrozumiano. Sprowadziłem pułkownika, aby mu pokazać anarchję naszą, a pokaże mu zgodę i sam sobie kłam zadami!

— Nie rozgrzewaj się tak — wtrącił wojewoda— ugoda nie podpisana. Łatwo ją uczynić niemożliwą.

— Ale chyba pokoju chcą *à tout prix*! — zawołał kanclerz—kiedy nawet księcia Hieronima, przyszłego swojego marszałka, chcą mi poświęcić.

— Jeszcze go nie zarżnęli—rozśmiał się wojewoda—czekajmy.

— Lękam się przyjaciół więcej jeszcze, niż wrogów—odparł kanclerz—gotowi mi się przysłużyć taką zgodą, która cały mój plan zrujnuje.

I książę chodził po pokoju niespokojny taki, pijał wodę, zamyślał się, zżymał, patrzył na zegarek, iż żał go było bratu.

Zamiast się tak niepokoić, proszę cię — odezwał się — poślij lepiej kogo z kartką do nich, aby na żaden sposób do zgody nie zbliżali się, niech płaczą, niech nas bodaj skompromitują, ale niech nas nie wiążą.

Nawzajem książęta się uspakajac zaczęli i doszli do tego, że przecież nic złego się stać nie może.

---

Stronnictwo Radziwiłłowskie z porywcznością swą, butą, ostentacją potęgi i popularności, uchodziło w kraju za daleko mniej zręczne i w polityce nie mogące się mierzyć ze stronnictwem Familji. Wszystko to byli w opinii ogółu ludzie zacofani, wieku przeszłego i przepowiadano im klęskę.

W tem wszystkiem w traktowaniu o zgodę, niewiadomo kto był doradcą księcia wojewody, ale mu dał radę, która cboć chwilowo pomieściła wszystkie osnuto plany przeciwko obozu.

Doradzono księcu pomawianemu o gwałty, najeźdy, o przemoc wywieraną na wszystkich co mu posłusznymi być nie chcieli, ażeby tym razem powolnym się okazał, posłusznym życzeniom króla, gotowym do ustępstwa.

Czartoryscy się tego tak mało spodziewali, iż z początku sami nie wiedzieli co począć. Zgoda nie była w ich programie już gotowym.

Chciano doprowadzić do tego wojewodę, aby zawichrzył, dopuścił się gwałtu i usprawiedliwić manifest, który prowadził do konfederacji.

Ta, gdyby raz przyszła do skutku, Czartoryscyby



w niej mieli broń przeciwko Radziwiłłowi, zarówno i królowi.

Gdy dnia naznaczonego, pełnomocnicy księcia kanclerza przybyli do biskupa, ciekawość warunków podbudzona była do najwyższego stopnia. Cisnęli się ciekawi, aby posłyszeć kondycje.

Odczytanie ich powitano milczeniem. Wymagania były, niemal upokarzające.

Żądali Czartoryjscy, aby sejmik kowieński, który zszedł zupełnie spokojnie, a obrano na nim bez kontradykcji Bohusza i Łopacińskiego ogłoszony został *pro vacanti*. Powtóre, aby sejmik słonimski, gdzie wybrano księcia podkomorzego litewskiego Hieronima Radziwiłła, jawnego i jedyne go kandydata do łaski marszałkowskiej, przeciw któremu Czartoryscy nie stawili nikogo, również *pro vacanti* został ogłoszony.

Tych dwu punktów, a szczególnie ostatniego, zdawało się Czartoryskim dosyć, aby zerwać układy, nie przypuszczali, aby *pro honore domus* nie ujął się wojewoda i nie uparł przy słonimskim.

Tymczasem rzecz była przewidziana i pełnomocnicy księcia prosili, aby to wzięść mogli *ad deliberandum*. Jeden z nich pojechał zaraz do kardynałji, obiecując powrócić wkrótce. Biskup Krasieński, który słuchał czytania desperując, wielce się zdziwił, ale duch w niego wstąpił.

Obawiał się nagłego zerwania.

Począł tylko posłanym przez kanclerza czynić wymówki, że z tak nadzwyczaj uciążliwemi występowałi kondycjami.

Kardynałja nie była zbyt odległą, wymknął się i pojechał sam błagać wojewodę, aby miał wyrozumiałość i cierpliwość, dwie cnoty, na które mu się najtrudniej zdobyć było.

Księcia zastał przy śniadaniu, w humorze dosko-



nałym, śmiejącego się i opowiadającego niebывałe dzieje.

Obok niego gromadka doradców rozstrząsała sejmikowe sprawy kowieńskie i słonimskie. Dziwnie to wyglądało, iż właśnie te sejmiki, za niedosze mieć chciano, na których spokojnie, bez sprzeciwienia się żadnego, posłów jednozgodnie obrano.

Biskup zaklinał wojewodę, aby dla spokoju, *propter bonum pacis*, wspaniałomyślnie, dając przykład obywatelskiego heroizmu, przyjął te niefortunne warunki.

Ucierano się na wpół serio, pół żartem, jak gdyby to wszystko było jakąś igraszką tylko. Wojewoda w końcu kielich sobie nalać kazał i wychylił duszkiem zdrowie medjatora, oświadczając, że się zdaje na niego i honor mn swój powierza, gotów nawet na ofiarę brata.

Krasiński z tem, nie czekając już aby odmienny wiatr nie zawiał, pobędził do domu.

Tymczasem pełnomocnicy kanclerza pojechali do niego, i przywieźli wiadomą instrukcję, niewiedząc jak ją spełnić potrafią.

Nadjechał biskup Krasiński, i przemawiając do posłów kanclerza, zaklinał ich, aby ze swej strony okazali równą powolność, jakiej dał dowód książę wojewoda, który pomimo tak dla niego obciążających kondycji, gotów w ostatku oba sejmiki ogłosić za niedosze.

Umocowani wysłuchawszy tego tak dla nich niespodziewanego zakończenia, zmięszali się mocno, potrzeba było o tem donieść księciu kanclerzowi, który ostatecznie miał rozstrzygnąć i t. p.

— Ale ja nie widzę aby tu co było do rozstrzygnięcia — zawołał biskup. — Podane zostały warunki, i mimo, że ograniczają stronę przeciwną, przyjęła je. Rzecz jest zatem skończona. Idzie o spisanie jej tylko.

Posłowie uparcie się odwoływali do kanclerza.

Biskup obawiając się, aby mu nie uszli, aby się przez to koniec nie odroczył, ofiarował się jechać sam.

Wszystko tedy zdawało się iść nadzwyczaj pomyślnie, chociaż bardzo posępne twarze pełnomocników, były złą wróżbą. Krasiński jak piorun wpadł do księcia kanclerza, z radością na twarzy, zwiastując mu nowinę pomyślną, że kondycje jego przyjęte zostały.

Spodziewał się, jeżeli nie podziękowania i wdzięczności, to przynajmniej zaspokojenia. Zdumiał się niezmiernie, gdy książę kanclerz odparł:

Bardzo się cieszę, że raz w życiu wojewoda trochę zdrowego okazał rozsądku, ależ to nie wszystkie są kondycje moje.

Z kolei biskup pobladł zdziwiony.

— Więcej nam nie przedstawionoll

— Ja nie mogę niezabezpieczwszy się, wyrzec tego, co mi zapewnia spokój i należyne położeniu memu wpływ na wymiar sprawiedliwości.

To mówiąc, książę od niechcienia sięgnął po papier zapisany świeżo własną jego ręką.

— Chciej mnie posłuchać, książę biskupie. Dwa te warunki za preliminarja tylko uważać się mogą. Sejmiki wołkowyski i grodzieński, gdzie do poselstwa szli przyjaciele domu naszego, zostały przemocą, siłą, szablami, strachem zerwane i rozpędzone. Nie mogę na to dozwolić i żądam aby moi posłowie się utrzymali. Jest to warunek, *sine qua non*.

Na twarzy pośrednika malowało się zwątpienie.

— Za pozwoleniem, mości książę, ale ze swej strony jakież uczynisz wojewodzie ustępstwo?

— Ja? — odparł Czartoryski — zdaje mi się, że czynię największe nie ogłaszając go *urbi et orbi* tym czem jest, to jest gwałtownikiem, zbójem, opressorem swobód naszych i ludzi. Że go niepozywam przed sąd świata jako godnego banicji.

Kanclerz unosił się tak mówiąc, że biskup na wystąpienie to, odpowiedzieć nie umiał.

— Z mojej strony — dodał książę — ustępstwo jest ogromne, gdy się kontetuję takim składem Trybunału, ażeby w nim *paritas* głosów była, połowa moich, a połowa jego, co mi sprawiedliwość zabezpieczy.

Przyjmijcie te warunki, gotówem ustąpić i milczeć, aby królowi może ostatecznych chwil nie zatrzymywać, jeżeli Radziwiłł je odrzuci, zaniesiemy do akt manifest, w którym go oszczędzać nie będziemy.

Długi czas po tych słowach biskup, który zrazu stracił odwagę i otuchę traktowania, na nowo począł zaklinać, przekonywać, tłumaczyć, chcąc kanclerza skłonić do tego aby złagodniał.

Wszystko było próżnem i im natarczywiej nastawał biskup, tem się gwałtowniej rzucał Czartoryski. Nie było sposobu na nim nie wymódz.

Ponieważ przy całej tej rozmowie Fleminga nie było, Krasiński cokolwiek na niego rachując, wymknął się, aby go szukać.

Znalazł go zamkniętym w domu i zajętem czytaniem listów, które właśnie nadeszły z Warszawy.

Ledwie nie ledwie po długiem traktowaniu wpuszczono Krasińskiego, ale Fleming mu kwaśno oznajmił, że wszystko zdał na kanclerza, i że się do niczego nie mięsza.

Nie dał się tem odstraszyć, dając dowody istotnego poświęcenia się biskup i począł wmawiać we Fleminga, aby się przyczynił pośrednictwem swem do układów, które mogły spokój, tak wszystkim potrzebny, zapewnić.

Był to głos wołającego na puszczy. Fleming który kilka razy wdaniem się swoim nieczęcznem zniercierpliwiał kanclerza, a teraz mu dał słowo, iż się do niczego mięszać nie będzie, odpowiadał na wszystkie argumenta.

— Nie mogę! nie mogę.

Straciwszy wiele czasu napróżno, wprost ztąd udał się biskup do wojewody, przygotowany z góry

do tego, iż po uczynionych następstwach znajdzie tu oburzenie, gniew i wymówki tylko za to, że do próżnego upokorzenia prowadził.

Po drodze spotkał Wojniłowicza, wysłanego aby dostał języka.

Ten zasłyszawszy zaledwie na co się zanosilo, zakrzyknął i wyprzedzając Krasieńskiego, poleciał do kardynali.

Znekany, bezsilny, zachrypły przybył za nim w kilka minut do sali w której książe wojewoda teraz jadł znowu, ale był tu już obiad, który miał się zakończyć, bo podawano pieczone.

Sludzy z półmiskami szli, czekając, aż je roznieść będą mogli, bo w tej chwili przybycie Wojniłowicza, który w krótkich słowach oznajmił z czem wystąpili Czartoryscy, wywołał taką wrzawę, rozruch, roznieśnienie we wszystkich, iż nikt o jedzeniu nie myślał.

Książe z okrutnem przekleństwem, uderzywszy pięścią o stół, poprzysiął, iż więcej na włos jeden nie ustąpi. Przyjaciele jego odgrążali się, że na szablach przeciwników rozniosą.

Tumult, wrzawa, krzyki dochodziły do szalu. Niektórzy porwali się od stołu, gromadzili w kupki, mając jeszcze serwety pod brodą, i pięści ogromne podnosili do góry. Zabierano głosy aby lać i grozić, książe cały czerwony pił, kazał nalewać, zżymał się i wołał coś niezrozumiałego, kończąc jednym.

— Kamień na kamieniu nie zostanie!

O zgodzie, o komplanacyi, o traktowaniu jakimś mowy nawet być nie mogło. Biskup stanął zmieszany, aby być świadkiem tego wybuchu, którego uśmierzyc żadna siła nie mogła.

Sludzy z półmiskami musieli odejść do kuchni, nikt nie myślał kończyć obiadu, ale za to wino pakuowało, bo je nalewano, rozlewano i wypijano z jakąś wściekłością, jakby gniew żarem swym wywołał nienasycone pragnienie.

Głowy już wprzód podchmielone, teraz całkiem się pozamraczały. Młodzież odgrażała się do wojsk iść na Snipiszki i gotować je do boju.

Najdziwniejszym sposobem Sapieha hetman, który był tu przyszedł na chwilę, został przez wojewodę pochwycony, wyściskany i posadzony przy sobie, jako brat najukochańszy.

Napróżno mu się chciał wyrwać.

— Daj pokój panie kochanku — mówił całując go — ja cię znam, ty się żony boisz, ale ty ją powinienś trzymać ostro, bo to baba chytra jak węz. Ona trzyma z Czartoryskimi, i w błoto cię wciągnie. Zostań ze mną.

Hetman tak się zląkł głośnych wynurzeń o żonie, że aby ich uniknąć wolał zostać przy wojewodzie.

Pić on pił, jak naówczas wszyscy, ale głowę miał słabą i zaraz w początku obiadu sobie dobrze podchmilił. Raz poczuwszy, iż mu zaszumiało, bez pamięci wypróżniał kieliszki starego wina, i coraz się więcej dla brata wojewody rozczułał. Niewiele zważano na niego, ale gdyby go słuchano, wnosić by wszyscy mogli, że ciałem i duszą do Radziwiłłowskiego obozu należy.

W istocie postanowionem było, żeby się trzymał neutralnie.

Dla wielu jego przytomność tutaj znaczyła, że warta honorowa dla Trybunału była zapewniona, a hetman wcale jej dać nie myślał. Szło mu o to jak się od tego uwolnić.

Wszystkie te jednak na cichej naradzie z żoną uczynione postanowienia, wino węgierskie z sobą uniosło. Hetman był tak przejęty, iż sam gotów był z szablą na nieprzyjaciół brata.

Wrzawa nie rychło się ukołysać dała. Biskupowi podano krzesło, posadzono go, spróbował jeszcze przemawiać za pokojem, ale go wnet zakrzyczano, że Czartoryscy drwią sobie, domagając się takiego upo-

korzenia, jakiegoby nietylko Radziwiłł, ale najostateczniejszy szlachciura z ujmą honoru nie dopuścił.

Co tam się wysypało i wylało na Familję, jak ją z błotem mieszano, a za nieprzyjaciół ogłoszono, wśród szczeku i brzęku talerzy i kielichów opisać trudno. Kilka razy zaczynał coś biskup, niedano mu dokończyć, i widząc wreszcie że więcej swą przytomnością drażni tu umysły, niż łagodzi wzburzenie, dobrawszy chwilę gdy na niego nic zważano, wymknął się do domu.

Nie zastał już tu nikogo, bo też nic nie miał do czynienia. Pod szczęśliwą wróżbą rozpoczęte układy zwiększyły tylko rozdrażnienie, dowiodły, że pacyfikacja była zupełnem niepodobieństwem.

Odpoczywającego smutnie nawiedził kasztelan Brzostowski, który zrana robił co mógł aby mu być pomocą, i dopiero gdy się wszystko rozchwiało, plac opuścił.

— Nie mamy tu już nic do czynienia — odezwał się siadając przy nim.

Nie miałem nigdy nadziei, aby istotne przejednanie nastąpić mogło, dziś się przekonuję, że to inaczej jak katastrofą jakąś zakończyć się nie może.

— Nie ludzie tu występują przeciwko sobie, ale siły jakieś tajemnicze, któremi fatalność włada.

— Nie zapominaj o Bogu, panie kasztelanie — odparł biskup. — Nie fatalność, ale wyroki Jego spełniają się na nas.

— Nam już nic do czynienia nie pozostało — dodał Brzostowski.

— Przepraszam was — przerwał biskup — dziś mamy sobotę. Niedziela cała nam pozostała, abyśmy próbowali spełnić nasz obowiązek, choć nie mamy wiary w to, abyśmy mu podołali.

Brzostowski się skłonił i dodał.

— Admiruję.

— Bądź co bądź potrzeba na stanowisku dotrwać



do ostatka. Żołnierz nie schodzi z placu choć niema już nadziei zwycięstwa.

Z obiadu Radziwiłłowskiego podchmieleni goście rozchodząc się po mieście roznieśli wprędce wiadomość, iż wszelkie usiłowania pojednania o opór i nadzwyczajne wymagania kanclerza się rozbiły. Znający Radziwiłła wiedzieli, że raz doprowadzony do ostateczności, miary w niczem znać nie będzie. Ludzie też jego z umiarkowania nie słynęli. Popłoch straszliwy poszedł po mieście. Wiele osób przelekłych pakować się i wyjeżdżać natychmiast postanowiło.

W obozie też przeciwnym u Massalskich panowało nie mniejsze rozdrażnienie i niepokój. Siły ich wcale sprostać nie mogły czterotysięcznemu wojsku nadwornemu wojewody, musieli się więc mieć na wielkiej baczności, aby się nie dać pochwyć i nie wywołać tumultu, któryby w bój się mógł przemienić.

Książę kanclerz, który się spodziewał poparcia od hetmana Massalskiego, znalazł tu tylko grzeczne tłumaczenie się, iż hetman wielki do tej sprawy wcale się mieszać nie chce czynnie, odmawia straży honorowej Radziwiłłowi, ale w niczem więcej nie może pójść za żadną stronę. Zapewniał tylko o swej neutralności. Tak samo tłumaczyli się inni, a niektórzy dodawali, że Czartoryscy pewni będąc poparcia przez wojska Imperatorowej, której pułkownik już się znajdował w Wilnie, nie mogli się łączyć z obcą potencją przeciwko swoim.

Można sobie wyobrazić, jak namiętna pani hetmanowa, która czynną odegrać chciała rolę w tem zajściu, nie występując na widownię, spędziła chwile te rozstrzygające, poruszona i niespokojna. Tołoczko musiał jej służyć ciągle, biegać, jeździć, zwozić wiadomości i spełniać poselstwa.

Miała oprócz niego agentów swoich w robronach, ale rotmistrz był ze wszystkich najczynniejszym.

U księżnej wojewodzicowej wieczorem, przyjęta została nadzwyczaj uprzejmie, ale gospodyni, jej brat

i kilka zamówionych osób, tak ją otaczali ciągle, zabawiali rozmową, nie dali odetchnąć, że to, po co tu przybyła głównie, widzenie się i poufna rozmowa ze stolnikiem, w oczach rywalki, zupełnie było chybione. Ani Poniatowski do niej, ani ona do Poniatowskiego przybliżyć się nie mogła. Znalazł się zawsze ktoś na drodze, który przeszkadzał, zagadał, odciągał.

Rozpaczliwie rzucała się coraz zuchwalej hetmanowa, ale wojewodzicowa tak pilnowała, iż czujności jej nie było można w błąd wprowadzić. Bawiła tu do bardzo późna, ciągle się spodziewając pochwycić stolnika i odjechała w końcu wściekła na gospodynię, poprzysięgając, że jej tego nie daruje.

Starosta halicki zastępujący tu gospodarza, przeprowadził ją do karety, grzeczny, złośliwy i szyderski. W pałacu u siebie znalazła Tołoczkę, który na nią oczekiwał i siadłszy przy stoliku w salonie, usnął snem tak twardym ze znużenia, iż hetmanowa przyjechała, przeszła mimo niego, miała czas zrzucić rogowkę i wrócić do salonu, a Tołoczko spał jeszcze i zbudzić go musiała.

— Zmiłuj się rotmistrzu, co się dzieje, jestem niepokojna o męża. Nie wiem co się stanie z Trybunałem, kto tu zwycięży? Mąż mój gotów temu wiecznie napilemu bratu dopomagać i nas wciągnąć w ten los, który go czeka. Myśmy się powinniśmy trzymać na boku i pozostać spektatorami. Mój mąż jak pojechał do miasta, tak ani wiedzieć o nim.

— Książę udał się ztąd wprost do Kardynalii — rzekł rotmistrz Buńczuczny. Książę Radziwiłł już się zaczynał tem obrażać, że go zaniedbał. Musiał pojechać.

— Ja to wiem, ale musiał być potem u Massalskiego hetmana, dla porozumienia się z nim, bo my w obu obozach powinniśmy mieć stosunki.

— Wiedziałem też ja o tem — odparł Tołoczko — i dla tego opóźniwszy się, szukałem go u Massalskiego

i nie znalazłem. Musiałem więc do kardynalii i tam księcia trafiłem, ale byli właśnie przy śniadaniu.

— A! przy śniadaniu! — zawołała hetmanowa. — No! to już nie masz mi co więcej mówić, upoili go, został do obiadu, przy obiedzie poprawili jeszcze i już go się teraz spodziewać takim, że pójdzie wprost do łóżka, a mówić z nim nie będzie można.

— Mościa księżno—przerwał Tołoczko—nie trzeba tych rzeczy brać tak tragicznie. Po kielichach co się robi, o tem można zapomnieć, a nawet się zaprzeć. Gdyby był trzeźwym, gorzejby było.

Hetmanowa zamilczała.

— Spodziewano się przez cały dzień, że układy jakiś owoc wydadzą—mówił dalej pan Buńczuczny—ale Czartoryscy sobie zażartowali z króla i jego posłów. Biskup Krasieński latał przez cały dzień. Wyrobił to na Radziwille, iż pierwsze warunki Czartoryskich przyjął, ale gdy się to stało, wzięli na kiel i chcieli, aby się książę sam zabił własną ręką. Więc zerwano traktowanie.

— I cóż, wojna? — podchwyciła księżna z wyrazem, w którym rozpoznać było trudno, czy była jej rada, czy przestraszona.

Tołoczko ruszył ramionami.

— Gdzie zaś wojna! Książę ma dobrze wyćwiczonego żołnierza do czterech tysięcy, a oni pułkownika Puczkowa bez pułku i milieje dworskie po kilka dziesiątków ludzi. Biskup Massalski, który oficerów francuzów do formowania swego pułku sprowadził, na sztych go nie wystawi. Hetman Massalski wojska nie da, więc Radziwiłł górą.

Księżna ręce załamała.

— Toż dopiero w butę wzrośnie—zawołała.

— Czartoryscy gotują przeciwko niemu manifest straszny—mówił ciągle Tołoczko.—Trybunał się ufunduje, ale to dopiero początek, a kto zwycięży w końcu, ten się będzie mógł pochwalić.

— Myślicie że Radziwiłł? — zapytała hetmanowa.

— Nie jestem prorokiem — rzekł rotmistrz — póki króla Augusta i Brühla, póty książę wojewoda na Litwie wyprawiał nam sceny i nikt go nie pohamuje, ale przy małej zmianie, gdy się wszyscy nieprzyjaciele tego królika do kupy zbiorą, a protekcyi królewskiej nie stanie, nie chciałbym być w jego skórze.

Oczki księżnej zaśmiały się.

— Sam sobie winien — rzekła — dziwuję się, że Panu Bogu cześć oddaję, bo zresztą nikogo w świecie szanować nie chce, a i z Panem Bogiem za pan brat.

Tołoczko potem odebrał instrukcye na dzień następny, i gdy już dla późnej pory miał się żegnać, przystąpił do hetmanowej całując ją w rękę.

— Mam obietnicę pani — rzekł.

— A! wiem już! wpadła ci pono w oko Koiszewska strażnikówna, nieprawdaż?

— W oko to nie, ale w serce — westchnął Tołoczko — czuję, że od tego moje szczęście zawisło.

Blagające zwrócił na nią wejrzenie.

— Czekajże aż wrócimy do Wysokiego.

— Aleby pani hetmanowa mogła tu, przez łaskę swą, wcale o mnie nie czyniąc żadnej wzmianki, trochę zjednać sobie panią strażnikową, a pod pozorem że u niej dom weselszy, uczęszczany, dla panienki przyjemniejszy, mogłaby do siebie wziąć na czas jakiś pannę Anielę.

— A waćpan byś ją tu wygodniej niż u matki mógł widywać! — rozśmiała się hetmanowa. Bardzo to mądry plan, choć boję się, czy go matka nie odgadnie. Jakże ona patrzy na waćpana?

— Niewiem, nie powinno być przeciwną — mówił skromnie rotmistrz — mam sytuację niezłą, fortunę szlachecką, ale nie zgorszą, imię pocziwe. Nie jestem pierwszej młodości to pewna, alem nie tak znowny stary, aby śmieszno mi się żenić było.

Hetmanowa słuchała zdejmując rękawiczki.

— Zobaczmy co się da zrobić — odparła. — To waćpann przyrzekam, że się postaram strażnikową

pozyskać, ale nie przyjdzie to łatwo. Kobieta prosta bez wychowania, pełna staroświeckich przesądów.

Tołoczko raz jeszcze pocałował w rękę i już szedł do drzwi, gdy go zawróciła hetmanowa.

— Mówiąc z mężem moim — szepnęła — staraj się go nakłonić, ażeby pozostał neutralnym i z nikim się nie wiązał, a szczególnie z Radziwiłłem.

Na tem się skończyło, a było już po północy. Hetman odpoczywał dawno w objęciach Morfeusza.

Następny dzień zrana, zdawał się spokojniejszym, jak gdyby wszyscy już, pewni tego co czynić mieli, nie mając na myśli zmieniać nic, ani się targować, gotowali się tylko do odegrania roli, jaka im z losu wypadła.

Mianowicie Radziwiłł i jego obóz z pewną ostentacją, usiłował się okazać spokojnym, pewnym siebie i najmniejszej obawy nie mającym o dzień jutrzejszy. W obozie na Sznipiszkach, jeżeli co widać było, to chyba przygotowania do parady. Dobywano i czyszczono najlepsze zbroje, trzepano mundury, myto konie, wojsko sposobiło się do wystąpienia, ale jak na okaz tylko i paradę.

Dowódcy przechodzili się flegmatycznie, wydając rozkazy, niektóre oddziały w mundnrach odświętnych jechały do miasta, zaciągając warty u księcia. Przyjaciele Radziwiłłowscy unikali nawet rozmów o tem, co nazatutrz się odbywać miało, jakby o to najmniejszej nie mieli troski.

Książę w poszóstnej karecie, otoczony świetnym dworem, oddawał wizyty niektórym osobom, wcale nie zważając na to, iż go w wielu miejscach nie przyjmowano.

W ulicy się zjechawszy z biskupem Krasińskim, gdy ten zbliżył się ze swą kareta pod okno powozu książęcego i zagadnął o zgodzie, odparł śmiejąc się.

— Zgoda pojechała od nas, że jej nagonić nie mogliśmy, dajmy pokój pogoni, aż sama powróci. A uczynicie mi ten zaszczyt żebyście u mnie dziś chle-



tem się przełamali. Będziemy mieli podgarle z dzika, któremu warto dać gęby.

I z tem go opuścił. Biskup pojechał smutny do kanclerza jeszcze, który go przeprosić kazał, iż przyjąć nie może.

Po mieście rozchodzić się zaczynała pogłoska, iż po niesporach w kościele katedralnym, coś gotowano, jakąś przeciwko Radziwiłłowi manifestacją, na którą biskup Massalski zapraszał tajemniczo.

Tołoczko, który już zrana o tem odebrał wiadomość a przewidując, że hetmanowa, choć incognito, zechce się tam pewnie znajdować, pobiegł do niej z oznajmieniem.

Pomimo największego starania, aby dostać języka, co to się odbywać miało w kościele po niesporach, nie mógł się nic dowiedzieć, oprócz, iż miała być manifestacya.

Zawczasu już gotowano się na nią tłumnie.

Księżna, nim przybiegł Tołoczko, wiedziała że dzwoniono, ale nie wiedziała w jakim kościele.

— Ale cóż to ma być?—poczęła nastawać.

— Nikt nic nie wie, oprócz, że przeciwko Radziwiłłowi wystąpią.

— Juścić w katedrze jest jakiś kątek, gdzieby niepostrzeżonej można się dostać, aby widzieć i słyszeć własnymi uszami. Rób sobie waćpan co chcesz, a miejsce mi znaleźć powinienś.

Tołoczko nieszczęśliwy musiał tedy natychmiast biedz do katedralnego kościoła i starać się o miejsce dla księżnej.

Nadchodziła pora obiadowa, a że to była Niedziela, zjazd na Trybnał bardzo znaczny, ciekawość rozbudzona, w kardynalii więc, gdzie się większość gości cisnęła, przysposabiano miejsce na parę set osób, wiedząc, że te natłokowi nie starczą.

Było to obyczajem książęcego domu, iż przyjmowano znajomych i nieznajomych, a wchodził tu komn się zamarzyło, proszony i nieproszony. W głównej



sali przy księciu gromadzili się znaczniejsi, a dalej u szarego-końca, goście ewangeliczni. Wszystkim nalewano zarówno, z tą jednak różnicą, że dla drugich stołów był tak zwany kapuśniaczek, kwaskowate wino węgierskie, które obfitością, dobroć zastępowało.

Nim zwyczajna obiadu uderzała godzina, pokoje były n księcia nabite ludźmi, a twarze tak wesołe, jakby najmniej o przebieg sprawy trybunalskiej wątpliwości nie było.

Książę Hieronim obchodził wszystkich i jedno prawie powtarzał.

— Hasło nasze jest, że dziś na nieszpory do katedry nikt z nas nie pójdzie!!

Wojniłowicz, Rdułowski, Rzewuski toż samo powtarzali. Sam panie kochanku niektórych ściszał i szeptał.—Kto mnie kocha, od katedry wara!!

Zrana manifestu przeciwko księciu wymierzonemu tenorowi nikt nie znał, przy obiedzie już kopię jego przyniesiono i sekretnie ją odczytywano, oburzając się przeciwko gwałtowności.

Ponieważ, w nim grożono Imperatorową, której pułkownik Puczkow miał zdać sprawę z gwałtów popełnionych przez Radziwiłła, radzili przyjaciele ażeby książę z memorjałem wyjaśniającym sytuację od siebie także wysłał do Petersburga.

Książę od rana aż do pierwszych libacyj trzymał się z takim umiarkowaniem i krwią zimną, jakby w sercu gniewu nie miał, chociaż kipiało w nim i po kielichach już się utrzymać nie mógł. Ale zagłuszono go i dalej u stołów, nikt nie słyszał ani łajania, ani pogróżek, które się tu aż do wieczora rosnąć i potęgować na dzień następny, burzą okrutną zapowiadały.

---

Przy ogromnym natłoku nie pobożnych, ale zaciekawionych zapowiedzią jakiegoś niebywałego skandalu—rozpoczęły się sobotnie w kościele katedralnym nieszpory.

Stara świątynia, ktorej wieża jakoby z czasów pogańskich i świątyni Perkuna była pozostałością, nie tylko we wnętrzu przepelnioną była zawczasu, ale plac przed nią aż do zamku gęsto zajmowały tłumy. Stały tu powozy z pocztami dygnitarzy, czeladzi państwa i lud.

Do kościoła już nie wpuszczano. Tu obrócić się było trudno.

Tron biskupi na nowo odświeżony, obwieszony karmazynowemi aksamitnemi ścianami z frenzlą złotą, uderzał oczy naprzód, a obok niego na podwyższeniu znacznem przygotowane było siedzenie, wspaniałe krzesło, wprawdzie bez baldachymu, ale miejscem, które obok tronn zajmowało, odznaczające się.

Zagadką było kto je zajmie, dopóki z zakrystyi w towarzystwie kanonika czyniącego mu honory, nie wyszedł mężczyzna w pełnym mundurze wojsk ruskich cały orderami obwieszony. Poznano w nim pułkownika Puczkowa, którego Czartoryscy sprowadzili, aby był świadkiem tego co się tu działo.

W kościele pomimo ścisku uroczyste panowało milczenie.

Poniżej tronn i siedzenia pułkownika, na kilku stopniach w presbiterjum widać było liczny dosyć zbiór osób, ze strojów, elegancyi, powierzchowności pańskiej, na dygnitarzy wyglądających.

Pomiędzy niemi lepiej oświadczeni pokazywali sobie Fleminga, słynnego naówczas z bogactw, Czartoryskich, ich adherentów, przyjaciół, pomocników, kilku cudzoziemców, i młodego, z Petersburga niedawno powróconego, stolnika Poniatowskiego.

Stał tu na widoku bardzo hetman Massalski, usiłujący sobie nadać powagę wielką, wysokiemu swemu dostojęństwu odpowiadającą. W twarzach tego zgromadzenia, które nie okazywało się wcale pobożnem i dosyć swobodnie prowadziło rozmowę, jakby w teatrze lub na balu, postrzegać się dawało pewne rozdrażnienie i niepokój. Oglądano się bojaźliwie niemal,

szukając oczyma w tłumach twarzy znajomych. Bardzo mało kobiet w samej nawie kościelnej gdzieniegdzie rozsianych było, więcej ich widać na chórze i w kilku ciemnych łóżach ponad bocznymi nawami. A że katedra ówczesna obfitowała w kapliczki różnymi czasy przybudowane, do których wnijścia tworzyły wgłębienia, w nich też stroje jaśniejsze kobiece, zdradzały, że się tu mieścili. Osobliwie naprzeciw i około tronu biskupiego ścisk osób dystygowańszych był wielki, a ku drzwiom tu i owdzie widać było żołnierzy pułku Massalskich utrzymujących rodzaj straży i pilnujących porządku.

Sam biskup in pontificatibus przytomnym był nabożeństwu, a ci co go we fraku i przy szpadzie widywać byli przywykli, znajdowali, że nie umiał nosić infuły i kapa mu ciągle z niespokojnych ramion spadała. Ruchy też miał, na tym tronie biskupim, który majestatem pokoju zwykł być otoczony, zbyt żywe i gwałtowne, a czy biegały po przytomnych i po kościele, wcale świętością miejsca i chwili nie namszczone.

Ktoś właśnie uczynił złośliwą uwagę, że Jego Pasterska Mość we fraku się lepiej wydawał, niż oruacie biskupim, i że pastorałem wywijał jakby nim bić, nie błogosławić się gotował.

Prawda, że pomimo tyln oczów zwróconych na siebie, nie umiał się powstrzymywać, i co moment albo którego z kleryków stojących przy tronie mustrował, albo rozkazy jakieś wydawał i cicho ale żywo sypał coś do ucha tych co koło niego się mieścili.

Stosunek też pasterza do duchowieństwa nie był zwykłym, nie okazywano mu należnego poszanowania, ale rodzaj lekceważenia i zbytniej poufałości.

Nabożeństwo zwyczajne miało się ku końcowi, niecierpliwa ciekawość przytomnych rosła, cisnęli się coraz natarczywiej ku tronowi biskupiemu. Milczenie

po odśpiewaniu ostatniej modlitwy trwało krótko, biskup został i pastorałem uderzył o stopnie.

Podniósł głos i mówić począł, ale zrazu tak mało słyhać go było, iż całych sił musiał dobyć, ażeby nawet bliżej stojący coś mogli zrozumieć.

Mowa była może przygotowaną, ale żywy temperament i cbeć wyrazistego oświadczenia się przeciwko zamachom wojewody, nie dała mu się starać o retorykę.

Krzycząc więcej, niż mówiąc napadł księcia wojewodę, jako oppressora praw wszelkich, mącącego spokój publiczny, który z wojskiem, z działami wtargnął do Wilna, aby gwałtownie fundować Trybunał. Niema na niego innego sposobu, tylko uniwersalne, jednozgodne przeciwko gwałtownikowi powstanie przez zawiązanie konfederacyi.

Najwięksi przyjaciele biskupa nie mogli mu powinszować tego wystąpienia, w której więcej było animozyi, gniewu, niż argumentów. Sam też ksiądz biskup czuł, że potrzebował poparcia i do tego dobrany był Narbutt, marszałek lidzki, który wbrew innym Narbuttom siedł sam z Massalskim przeciwko wojewodzie.

Narbutt był sejmikowym mówcą, którego nie nie-kosztowało słów nagromadzić siła dźwięcznych, posypanych łaciną, tak jak ciasto się cukrem po wierzchu posypuje. Z tego więc samego tematu przeciwko oppressyi wydekłamał oracyę, kończąc ją tylko śmielszem oddaniem się pod protekcyę Imperatorowej.

Ostatnie słowa naturalnie wypowiedział zwróciwszy się do pułkownika, który nie wiedząc co zrobić z sobą, wása pokręcał.

Z gromadki, która bliżej tronu stała, nasadzeni poczęli wołać o manifest, żądając aby go zaraz spisano, a że gotowy już był od dni trzech, sekretarz Fleminga przybliżywszy się do świecy, którą w pobliżu kleryk trzymał, donośnym głosem czytać począł.

W ogólnych wyrazach malował im smutny stan kraju, zostający pod opresją, do której znoszenia cierpliwości się przebrało... Nie zbywało na komplemencie dla Króla J. M. i łaskawego jego pieczęlowania (sic) nad dobrem publicznem, naostatek mówił manifest.

„Kiedy Książę jegomość wojewoda wileński, sprowadziwszy liczne rozmaitego zaciąg żołnierstwo, trzyma dotąd w tem mieście i po przedmieściach z podniesioną bronią i armatami, jakoby przeciwko nieprzyjacielowi wiary świętej, lub ojczyzny uzbrojone — izbą sądową, żołnierstwem nadwornem i armatami osadzili, tedy nie mogąc znieść ucisku wszyscy się muszą związać w konfederacyę, dla obrony honorn, życia i substancyi.“

Po odczytaniu manifestu, głosy się słyszeć dały o podpisywanie go. Pierwsze tedy podpisy zaraz tamże w zakrystyi położyli przewodniczący konfederacyi, a tegoż wieczora, w nocy i nazajutrz kopje roznoszono po mieście, wożono po domach, zbierając podpisy, od których jednakże wielu się cofało.

Kościół, natychmiast po tej scenie dramatycznej, która się w nim odegrała, wypróżniać się zaczął, ale naprzód pańskie powozy i poczty pozabierały dostojników, których odjazdu lud się przypatrywał ciekawie, potem dopiero mieszczenie i szlachta gromadami ku bramie zamkowej popłynęli. W tłumach tych słyhać było rozprawianie, śmiechy, wykrzykiwania, z których trudno było wnieść za kim była większość, czy za wojewodą wileńskim, czy za księciem biskupem i Czartoryskimi, których tu mało znano, gdy Radziwiłł ze złej i z dobrej strony dał się poznać i był przez jednego czczony, przez drugich nienawidzony.

Przez cały czas niesporów i manifestacyi, pani hetmanowa, której miejsce zapewnił Tołoczko i sam jej towarzyszył, przypatrywała się z górnej łoży



wprost całemu widowisku, gdyż miała miejsce naprzeciw tronu biskupiego, tak dobrze wybrane, iż jej wcale widać nie było, a ona doskonale ztąd przypatrywać się mogła i słuchać.

Tołoczko wymógł na niej, że z sobą do towarzystwa zaprosiła strażnikową z córką. Ta odmówiła zrazu i nie chciała jechać, ale gdy hetmanowa na nią nastąpiła, aby choć córce z nią zabrać się dozwoliła dla rozrywki, czczwoliła aby Aniela towarzyszyła księżnie Saieżynie.

Rotmistrz nasz był tem uszczęśliwiony, bo mu nie nie przeszkadzało zbliżyć się do panny Anieli i po raz pierwszy dłuższą z nią rozmowę prowadzić. Hetmanowa była tak zatopioną cała w tem, co miała przed oczyma, iż na pannę wcale nie zwracała uwagi, Tołoczko więc bawił ją, naprzód jej tłumacząc i mianując osoby prywatne, potem wogóle o Wilnie i o pobycie w niem terazniejszym zagadnjąc.

Rotmistrz, chociaż oglądy francuskiej nie miał, nadto długo się obracał około panów, ażeby to na niego nie wpłynęło i nie odjęło mu nieco rubaszości żołnierskiej. A że grzeczny był, usłużny i około panny biegał, przyszło do tego, że się jej wydawał znośnym.

Zagadnął naprzód rotmistrz strażnikównę, jak się jej w Wilnie podobało i odebrał obojętną odpowiedź, że mało co wychodząc, mało też kogo widując, więcej się nudziła, niż poznała przyjemności.

— Naturalna to rzecz—odparł Buńczuczny — gdy szanowna pani strażnikowa, zajęta swym procesem mało się w świecie pokazuje, ale pani nie masz powodu zawsze być u jej boku, a księżua hetmanowa lubiąca towarzystwo z przyjemnością by ją w domu swym nietylko w odwiedzinach widywała, ale jako przyjaciółkę, przynajmniej na ten czas, gdy pani strażnikowa w Wilnie pozostaje, u boku swego mieć by sobie życzyła.

Panna Aniela, której pragnieniem nic więcej odpo-



wiadać nie mogło, zarumieniała się mocno, nie wiedząc co odpowiedzieć, aż nareszcie szepnęła cicho.

— Odemnie to nie zależy i co się mnie tyczy, ja bym z wielką przyjemnością księżnie się ofiarowała, ale...

— Niech-że mi pani da umocowanie abym ja się mógł starać o to, a ręczę, że się to wyrobi — odparł rotmistrz.

— Moja matka ma pewne uprzedzenie — mówiła Aniela.

— Ja to wszystko mniej więcej wiem, ale są środki, z pomocą których da się pani strażnikowa skłonić. Nie godzi się, aby panią zamykano w domu, w którym mało kto oprócz prawników bywa, gdy przyjaźń księżnej świat jej otwiera.

— Pan rotmistrz zrozumiesz to — odezwiała się panna Aniela, że ja nie mogę być czynną, ani się wyrwać od matki, ani okazywać, że się nudzę, choćbym w istocie się nie bawiła.

— Bądź pani spokojną — rzekł Tołoczko, uszczęśliwiony tem, że mu się powiodło panny pozwolenie otrzymać, zawiązać z nią małą intryżkę — ja pani nie wydam i nie skompromituję, wszystko będzie wypływało od hetmanowej.

Skłonieniem głowy milczącym i półśmiechem podziękowała panna Aniela. Tołoczko był w uniesieniu, bo mu się zdawało, że ją już sobie całkiem pozyskał.

Wstęp ten zrobił większą z obu stron poufałość i lepsze porozumienie, Tołoczko przestał się lękać, ażeby nie został odepchnięty, pannie zaś zdało się, iż wszystko to ją do niczego nie obowiązuje, że może się starym wdowcem posługiwać, nie będąc mu żadną ofiarą wywdzięczać się zmuszoną.

Panna strażnikówna korzystała z towarzystwa rotmistrza, rozpytując go o osoby i stosunki wielkiego świata, których nie знаła a niezmiernie była ciekawą.

Tołoczko tak był usposobiony, żeby się był jej z grzechów śmiertelnych swoich i cudzych spowiadał.

Rozmowie ich cichej, hetmanowa niesłuchanie zajęta tem na co patrzyła, wcale nie zawadzała, nie odwróciła się nawet, nie spojrziała na nich i parę tylko razy nie odwracając się przywołała do siebie rotmistrza, zadając mu pytania.

Cały przebieg rzeczy tego wieczora, jakie uczynił na niej wrażenie, ona sama może nie umiałaby powiedzieć. Były chwile, iż się cieszyła tem, gdy jej niechętnego gburą wojewodę, obelżywie traktowano, ale zwycięstwo Czartoryskich i jej obozu, czasem też ją oburzało. Czula, że całem sercem ani po jednej, ani po drugiej stronie stanąć nie mogła.

Manifestacya w kościele, choć pozornie była tryumfem, w istocie szerzyła klęskę i gdy ku końcowi zapytał jej pocichu Tołoczko.

— Cóż pani hetmanowa na to?

Odparła żywo:

— A cóż, przyznali się, że mu rady dać nie mogą. Manifestu nawet wątpię, aby do Akt wniesć dopuszczono, Radziwiłł z niego śmiać się będzie. Jest to więc na gwałt wołanie: gwałt, gwałt, ratujcie. A, co gorzej, pokazują, że w kraju nie mają się do kogo odezwać o ratunek, kiedy im protekcyja Imperatorowej potrzebna. Wszystko to—żał się Boże rozumnych ludzi, dosyć nieroztropnie prowadzone. To tylko dobre — dodała w końcu, że bitwy ani krwi przelewu nie mamy się co lękać, kto tak krzyczy żałośliwie, ten bić się nie myśli.

Szukała oczyma po kościele hetmanową męża, bojąc się, aby nie wystąpił niepotrzebnie, ale go nigdzie nie dopatrzyła.

Radziwiłł trzymał wszystkich około siebie. Pito, wyśmiewano się na całe gardło. Nie przeszkadzało to, ażeby jakichś nie wydawano rozkazów, nie odbierano raportów i nie sposobiono się na wsszelką ewentualność dnia następnego.

Ponieważ hetman wielki Massalski, wojska na strażę na presidium zamkowe dać odmówił, zatem z wie-

czora już dnia tego, milicya nadworna wojewody, wszystkie posterunki pozajmowała na zamku, w gmachu Trybunału i w mieście, gdziekolwiek się obawiano jakiego sporu, lub zwady.

Partya księcia kanclerza, bucznie od kościoła wyruszyła do domów, oprócz tych, których biskup Massalski do siebie zaprosił. Tu się wrzekomo cieszone tem co było uczynionem, ale w istocie na twarzach więcej troski widać było, niż zaspokojenia.

Czuli wszyscy, że mimo protestacyi Trybunał się utrzyma, otworzy i sprawy bieżące sądzić będzie.

Pożalowano może zerwania układów, któreby dozwoliły ciężką chwilę przebrnąć, dopóki by inuy obrót nie wzięły sprawy krajowe. Ci mianowicie widzieli się tem położeniem zagrożonymi, którzy mieli procesa w Trybunale, będąc na wokandzie. Musiały one przyjsć na stół, a jeśli sędziowie obozn przeciwnego rozstrzygać je mieli, pewni byli przegranej.

W tym przypadku była i pani strażnikowa trocka, potrzebując protekcyi Radziwiłłowskiej, którą tylko przez hetmanową zapewnić sobie mogła. Dla świata nie było wiadomem, jakie hetmanowa miała w sercu sentymenta dla wojewody, a cały świat znał to tylko, że Sapieha i on byli ciotiecznymi braćmi.

Zmuszoną więc była Koiszewska, chociaż zfrancuziałej księżnej nie cierpiała, akomodować się jej, aby przez nią najpewniej męża pozyskać.

Dawał jej to do zrozumienia Tołoczko. On zaś sam na tem fundował przyszłe swe nadzieje, że księżna pannę Anielę, wzięwszy do siebie, ułatwi mu zbliżenie się do niej i pozyskanie serca, a potem i samo małżeństwo skleić potrafi.

Nie bardzo rachował na to, aby się pannie mógł podobać, bo się co dzień w zwierciadle goląc, znał swą podstarzałą twarz, na gacha nie wyglądającą, ale mówił sobie, że gdy na kobiercu połączeni zostaną, serca do niego nabierze i będzie mu dobrą żoną.

Dnia tego hetmanowa jeszcze powracając na Anto-

kol, pannę Anielę do matki odwiozła, ale w drodze się z nią umówiła, iż temi dniami weźmie ją na czas pobytu w Wilnie, od matki do siebie. W milczeniu panna Aniela za to ręce jej ucałowała.

U pani strażnikowej trockiej dnia tego, wieczera była dla znajomych i przyjaciół, na którą właśnie panna Aniela powracająca z kościoła trafiła.

Tu szlachecki był świat. Kontusze i żupany ze starych kufrów podobywane, a i ludzie jakby z przeszłego wieku i obyczaj nie dzisiejszy. Wieczera nie wytworna, ale obfita, wino dobre i nie żałując dolewane, weselość szczerą i prostą.

Pannie Anieli rozkochanej w innych obyczajach i elegancyi wyszukanej, a sentymentalizmie kłamliwym, ludzie, mowa i obejście się ich, były wstrętliwe.

Z tem uczuciem znalazła się teraz wprost z pod skrzydeł hetmanowej, której dowcip i szczebiotanie ją zachwycali; rzucona w towarzystwo rubaszne, nie wykwintnej wcale powierzchowności, krzykliwe, serdeczne, ale aż do grubiaństwa poufałe, szczególnie po kieliszkach.

W progu powracającą witał mocno już ożywiony węgryzmem pan Alojzy Bujwid, na klęczkach proszący o rękę do pocałowania.

Z drugiej strony rzuciła się jej na czyję Szklarska, ściskając i ciągnąc do stołu.

— U hetmanowej cię pewnie nie nakarmili, bo tam po pańsku, porcelana saska, ale potrawy mało na niej, siadaj i jedz.

Matka też miejsce jej robiła u stołu, choć napróżno się wymawiała, iż jeść nie potrzebuje i nie chce.

Posypały się pytania. Goście byli ożywieni wszyscy bardzo, bo Bujwid uproszony o to przez strażnikową, węgryzna jej nie żałował, a poczciwi ludziska za kołnierz sobie łać nie dawali.

Musiała panna Aniela, o której wiedziano, iż na niesporach była w katedrze, opowiadać co się tam działo. Okazało się jednak z jej powieści, że tak ją

mało sprawy krajowe obchodziły, iż osób i partyi wyobrażenia nie mając, mieszała z sobą ludzi.

Śmiano się z tego, potrosze ją tłumacząc, choć Koiszewska oświadczyła, że ona w tym wieku będąc co córka, sejmikby była mogła poprowadzić.

Rada była panna Aniela skryć się i stać niewidoczną, tak ją męczyli ci ludzie, pytania, dowcipy grube i komplementa przestarzałe, a zawsze tak oklaskami przyjmowane.

Opiekująca się nią Szklarska, zalecający się jak niedźwiedź Bujwid, goście wszyscy obsypujący ją grzecznościami tak często dobitnemi, iż się rumienić musiała, większy niż kiedykolwiek wstręt i obrzydzenie w niej obudzili.

Powiedziała sobie:

— A! choćby już ze starym Tołoczko, byle się raz wydobyć z tego piekła.

Tołoczko więc tego wieczora ogromny uczynił postęp, nie w sercu, bo te nie zabiło dla niego, ale w rachubach panny strażnikówniej. Okazało się, iż panna Aniela, która na miejscu w katedrze naocznym była świadkiem manifestacyi, połowy tych rzeczy nie wiedziała, nie słyszała, o których tu już przy stole rozpowiadano.

Towarzystwo było dosyć zmieszane, znaleźli się więc i partyzanie Radziwiłłowscy i obrońcy Czartoryskich.

Zaczęto rozprawiać żywo i panna Aniela chwilę upatrzywszy, mogła się wymknąć od stołu, usiadłszy w kątku dla spoczynku. Tu czatujący na nią, spragniony widzenia i rozmowy Bujwid, który się dla niej w nowiuteńki kontusz ustroił, w barwach województwa wileńskiego, natychmiast pośpieszył zabawiać.

Zniecierpliwiona tą natrętnością byłaby może uciekła od niego, gdyby wzrok matki surowy jej nie wstrzymał.

Siadł więc pan starosta pogorzelski i począł od



ubolewania, iż panna strażnikówna tak się zmęczyć musiała, dotrzymując towarzystwa hetmanowej.

— Niech mi pan wierzy — odparła z cicha, obawiając się, aby jej matka nie posłyszała — że mniej się zmęczyłam przez cały ten czas, gdy z panią hetmanową była, niż tu od wnijscia mego do domu.

Bujwid nie zrozumiał. Zamyślił się, umilkł. Długiego potrzebował czasu nim mu się wyrwało:

— Niech-że mnie panna strażnikówna raczy objaśnić, jak ja to mam rozumieć?

— Jak pan starosta chce.

— Więc to ja zapewne tak panią męcę i nudzę? — zapytał.

— A gdyby tak było — odparła.

— Czy pani strażnikówna myśli, że mnie tem odpędzi od siebie? — począł Bujwid nie zmieszany wcale bynajmniej. — Ja się nie daję tak łatwo zrazić, bo miłość prawdziwa, jest bardzo cierpliwa. Im mniej dotąd miałem szczęścia się podobać jej, tem muszę więcej szukać wszelkiej okazji pozyskania jej faworów.

Panna ramionami poruszyła.

— Wiem ja to, że panna strażnikówna — mówił dalej — woli towarzystwo wysokie, paryżanów nasyżych i fircyków modnych, ja jestem prosty starego autoramentu szlachcic, ale na mnie i serce moje liczyć można, gdy na tych co w perukach chodzą z rożenkami u boku, wcale rachować niebezpiecznie, bo są wyrodki.

Panna spojrzała złośliwie i szydersko, Bujwid wytrzymał ten wzrok i nieustąpił. Owszem, siadł w bliskości aby dowieść, że się odpędzić nie da. Szczęściem Szklarska była też niedaleko i rozpaczona Aniela dać jej znak musiała, aby na pomoc przybyła.

— Waćpan tu panie starosto — odezwiała się zrozumiawszy położenie — trzymasz w oblężeniu strażnikównę. Daj że jej spocząć.

Wstał nareszcie starosta.



— Dwie na jednego, siła złego! — odezwał się — muszę zrejterować, ale pani tego nie daruję, że mi najpiękniejszy owoc tego wieczora wyrwałaś. Gdyby się choć na mnie pogniewała, i to bym wolał, niż taką lodowatą obojętność.

— Jeżeli panu o gniew chodzi tylko — przerwała panna Szklarska — uspokój się. Miarkuję z oczów Anielki, iż celu waćpan dopiąłeś.

— A zatem—zawołał starosta—padając na kolana, obowiązkiem jest moim stopy ucałować i o przebaczenie prosić.

To mówiąc pochylił się z ręcznie i tak niespodzianie pannie Anieli haftowany jej na korku trzewiczek z nogi zdjął, iż krzyknęła oburzona nie mogąc go już obronić.

W górę podniósł rękę z nim i począł wołać na głos.

— Pani strażnikowa dobrodziejka pozwoli. Skutkiem zajścia z winy mojej, dla przebeglania panny Anieli piję zdrowie jej z tego trzewiczka. A kto niechce mieć do czynienia ze mną, ten go spełni jak ja.

Strażnikowa chciała się opierać, ale ta staropolska fantazyja Bujwida przypomniła jej dawne czasy, było w tym wybryku tyle wesołości i fantazyi, że zabraniając śmiać się zaczęła. Goście zaś wszyscy wstali podnosząc ręce i wołając.

— Toast z trzewiczka! z trzewiczka!

Najstarszy pan wojski trocki Glinka zaprotestował tylko, że on sam to zdrowie wniesie i trzewiczek odebrawszy Bujwidowi, wstawił w niego kielich.

— Kwiatka naszego, różyczki naszej, panny strażnikówny zdrowie i abyśmy wkrótce na weselu jej powtórzyli.

Hałaśliwie toast przyjęto. Kielich z trzewikiem poszedł z ręki do ręki, a każdy silił się na jakieś słówko. Panna Aniela gniewna, zapłoniona, stała

w kąciku nie dziękując nawet. Szklarska ją całując pocieszała.

Bujwid sobie wymówił, że ostatni pić będzie. Kie-lich nareszcie przyszedł do niego, lecz gdy go brał, strącony zręcznie upadł na ziemię i rozbił się na drobne kawałki. Starosta wasa pokręcając rozśmiał się.

— Nie tak się pije z trzewiczka — zawołał — już niech będzie co chce, ja piję z niego, bez szkła i całuję tę nóżkę, która go dotykała. To mówiąc nalał szybko wina do trzewika, napelnił go po brzegi i bardzo zręcznie duszkiem wychylił wśród gromu oklasków.

Z trzewika spadły jeszcze krople na ziemię, a starosta go skrzętnie składając i zwijając w serwetkę pochwyconą ze stołu, złożył pod kontuszem na sercu.

— Wyrządziłem pannie strażnikównie szkodę, ale mi pani matka dobrodziejka dozwoli abym jutro inną parą starał się je zastąpić — zawołał — niesłuchając i nieczekając odpowiedzi.

To mówiąc zbliżył się do pani Koiszewskiej rękę jej całując z przykłonieniem. Strażnikowa wcale się gniewać nie myślała. Wszystko to jej, nawykłej w młodości do daleko śmielszych wybryków wydawało się miłym wspomnieniem, echem własnej młodości.

Ale panna Aniela, którą te zaloty rubasznie prowadzone do najwyższego stopnia oburzały, płonęła z gniewu. Szklarska jej uspokoić nie mogła, uciekla kulejąc do swojego pokoju.

Chociaż pora była spóźniona, goście rozochoceni siedzieli jeszcze i humory się coraz stawały weselsze; a strażnikowa rada u siebie, coraz wino świeże przynosić kazała, i wzięwszy się w bok, po za stołem chodziła animując i Bujwida karcąc, że nie dość troskliwie pilnował sumiennego spełnienia kielichów.

Już się wcale nikogo więcej niespodziewano do tej kompanii, gdy dyskretnie się drzwi otworzyły

i wsunął się, nie bardzo chcąc być postrzeżonym, Tołoczko.

Strażnikowa nie bardzo go lubiła, bo już tego zacięcia staropolskiego mu brakło, i choć Buńczuczno miał tytuł, buńczuczno nie wyglądał, ani się znajdował.

Ale każdemu gościowi gospodyni musiała być rada, przyjęła go więc u drzwi i zaraz kielich przynieść kazała, który ust prawie nie otworzywszy spełnić musiał. Kilku dobrych znajomych przyszło go powitać, inni badali czy nie wiedział co o dniu jutrzejszym.

— Dajcie mi pokój, ja się noszeniem nowinek nie bawię i jestem jak w rogu. Mój pan hetman na stronie stoi i stać będzie, do niczego się nie mieszając. Radziwiłł nas nie potrzebuje.

Pani Koiszewska przeczuła, że tak późno do niej nie przyszedł bez celu, i ustąpiła z nim na stronę.

— Choć nie w porę, ale chciałem dziś jeszcze rozmówić się z panią dobrodziejką w jej własnym interesie.

— Bardzo panu rotmistrzowi jestem wdzięczną, ale cóż tam takiego? — odparła Koiszewska.

— Jeżeli pani strażnikowej, szczęśliwe rozwiązanie procesu na sercu leży — rzekł Tołoczko — przynoszę przyjacielską radę. Pani hetmanowa nudzi się, niemając towarzystwa w domu, a lubi bardzo pannę Anielę. Chce panią prosić abyś córce dozwoliła u niej przebywać, póki jest w Wilnie. Panienka się zabawi, rozerwie, a hetmanowa wdzięcznem sercem przyłoży się przez męża do tego, aby proces został wygrany. Mogę za to ręczyć.

Pochwycona tak strażnikowa, z początku mruczeniem niewyraźnem odpowiedziała, niespokojna, oglądając się, na wpół zakłopotana, w pół ucieszona. Widać było jednak, że nawet nadzieją wygrania procesu nie mogła jej odjąć troski o córkę, dla której towarzystwo hetmanowej uważała za zgubne.

Ale jak tu było przed domownikiem Sapienhów, tłómaczyć się z tego.

— Prawdziwie — odezwała się — wdzięczna jestem panu rotmistrzowi za radę, chociaż... wolałabym protekcję hetmanowej nie taką okupić ofiarą. Widzisz pan, Anielka młoda... pod okiem matki zawsze bezpieczniejsza.

— Ależ pani hetmanowa! — zawołał Tołoczko — na chwilę jej z oka nie spuści, bo ją dla swego towarzystwa bierze. Dom senatorski, książęcy.

— Wielki zaszczyt dla dziecka mojego — odparła strażnikowa — ale panie rotmistrzu, nie bardzo to zdrowo do pańskiego życia nawykać, kto panem nie jest.

— Panna Aniela przez krótki czas nie nawyknie, ale pozna tylko, a znać i widzieć wszystko potrzeba — dodał Tołoczko. — Zresztą... ja przychodzę z radą a nie z namową. Wiem tylko, że hetmanowa zostanie ujętą tem i może być pani użyteczną.

Strażnikowa poprawiła czepka machinalnie.

— Jeżeli hetmanowa zażąda Anielki, rozumie się ja nie odmówię. — Ostatnim wyrazem zadławiła się prawie, i w duchu dokończyła, stary lis... wszystko to jest sprawą!!

---

Dzień był chłodny wiosenny, pogoda niestateczna, jak u nas zwykle w kwietniu bywa, ale wszystkim tym co dnia tego czynnemi być musieli u boku księcia wojewody, przy kanclerzu i biskupie Massalskim, gorąco dokuczało, tak biegali i niepokoiłi się, aby w czem nie zawinili.

Z rana już piechoty wojewódzkiej dwieście głów, bez armat zaciągnęło do Trybunału i warty swe w cichości porozstawiali. A że im zalecano się znajdować bardzo skromnie i cicho, więc bez huczków

i ostentacyi, bo też i bez oporu pozajmowali stanowiska.

Na zamku książę mający jurysdykcję grodzką jako wojewoda, wprowadził też swoich ludzi, nie znalazłszy ze strony przeciwnej nikogo, bo ani Fleming, ani kanclerz, swojej milicji na pewne posiekanie narażać nie chcieli.

Tymczasem biskup Krasieński, który pośrednictwo swe gorąco brał do serca i nie chciał się wyrzec nadziei, że coś może da się jeszcze ułożyć, jak dnia wczorajszego, tak i tego, od rana biegał, zaklinał, prosił o komplanację.

Książę kanclerz Czartoryski, który wszystkiem kierował, z góry już mając plan osnuty, w który wchodziło, aby do walki nie wyzywać, a księcia szkalować i dokuczać mu pismami i jątrzyć go a miłość własną jego drażniąc, do passji przyprowadzać, nie dawał się niczem skłonić do najmniejszego ustępstwa.

Poparcie Rosji, które miał sobie zaręczone, dawało mu siłę wielką. Z dumą przyjmował ks. Krasieńskiego chociaż grzecznie, o królu Auguste wyrażał się z jakąś rewerencją szyderską, lecz ani króla, ani księcia wojewody znać nie chciał już prawie, gdzieindziej mając zwrócone oczy. Ile razy biskup żądania królewskie powtarzając wdzięczność obiecywał, uśmiechał się książę kanclerz.

— Nie żądamy żadnych łask tylko sprawiedliwości. Król J. Mość, extra szlachetnego charakteru, dobroci wielkiej, najmniejszej siły niema. Oszukiwany jest. Brühl robi co chce. Zgody z nim być nie może. Krajowe sprawy nie poprawią się. Popuszczamy pasa, zalewamy głowy, bezład i anarchja się szerzą jak zaraza. Trzeba temu koniec położyć.

Krasieński napróżno bronił króla i Brühla, zaklinał aby się nie rozdwajać, starać zbliżyć i t. p.

Powtarzane argumenta, prośby obietnice o postanowienie niewzruszone kanclerza się rozbijały.

Czartoryscy ani osobami swemi, ani przyjaciółmi



nie chcieli uczestniczyć w Trybunale, pod pozorem, że gdzie był żołnierz Radziwiłłowski, tam żaden z nich życia pewien nie był.

— Pan wojewoda zaleje pałkę — mówił otwarcie kanclerz, a wówczas na wszystko gotów, i ludzi ma przy sobie, którzy się przed morderstwem ani gwałtem nie cofną. Od pierwszych czasów, gdy Trybunały zostały postanowione przez Batorego, obyczajem było narodu pobożnego, iż czynności każdego, rozpoczynały się od kościoła i modlitwy.

Katedralny kościół zwykle od rana do południa otwarty dla nabożeństwa, gromadził deputatów, palestrę, wszystkich w mieście będących na solenną wotywę o „Duchu świętym”, przy której miewał kazanie, w ostatnich czasach zwykle Pijar, i od 1750 roku też przysięga deputatów w kościele uroczystość się odbywała.

Do godziny dziesiątej ksiądz Krasiński uprosił sobie u księcia, iż czekać będzie, bo jeszcze sobie po-chlebiał, że Czartoryskich do porozumienia nakłoni.

W kardynalji tymczasem podawano śniadanie, a książę z podkomorzym, ze swymi przyjaciółmi i hetmanem Sapiehą, w pogotowiu był do wyjazdu.

Fantazja tego dnia skłoniła go do włożenia na uroczystość tę, nie paradnego stroju, ale starego ubioru województwa wileńskiego, który oznaczać miał, iż długie pokolenia Radziwiłłów w województwie tem przodowały na krześle wojewodzińskim.

Delję tylko miał nową, rysiami podbitą z karbunkulem po szyją, djamentami gorcącym, takąż drugą epinkę, jakoby dziesięć tysięcy czerwonych złotych wartującą u kity na czapce.

Twarz przybrał wesolą niby, ale pod tą maską, widać było gorycz, gniew i wzburzoną dumę.

Wyrazy manifestu odczytanego w kościele, cho-dziły mu głowie i powtarzały się dokuczliwie.

Dziesiąta biła, gdy na znak dany, wszyscy otaczający księcia, ruszyli na konie i do powozów.



Sam wojewoda jechał kouno, mając za sobą paradną sześciokonną karetę złocistą, otoczony dworem, wojskiem, służbą najrozmaitszej broni i barwy.

Kawalkata była ogromna, ludzi mnóstwo, wojska na kupki podzielonego mnogość wielka. Ponieważ się spodziewano czegoś i obawiano, gawieź niezmiernie liczna zalegała ulice, place, podwórza i okna domostw.

Niektóre kamienice, w których stali przyjaciele i adherenci znani Czartoryskich, bramy miały pozamykane, okienice pozaciągane i wyglądały jak wymarłe. Ale wewnątrz pełno było ludu zbrojnego z ponabijanymi muszkietami, gotowego bronić się do ostatka, gdyby był napastowany. Rozkazy wojewody najsurowsze wydane były do wojska, aby się nikt nie ważył waśni rozpoczynać, wyzywać i obelżywemi słowami zaczepiać.

Cały więc ogromny orszak księcia wojewody, który plac pomiędzy kardynalją, kościołem św. Jana, dzwonnica zajmował i ledwie się mógł tu pomieścić, gdy książę ku katedrze ruszył, pociągnął w pewnym porządku za nim.

Nie potrzebujemy mówić, że to, co do dworu wojewody należało, choć on sam występował w starym mundurze, błyskało od świetnych strojów i wytwornych zbroi. Twarze też godziły się z niemi, bo na nich malowała się śmiałość i duma, jakby zdobywców i zwycięzców całego świata. Nikt już nawet w tej rannej godzinie zupełnie trzeźwym nie był, co dodawało animuszu.

Pieśni tylko i chorągwi było brak, aby to na wojenne ciągnięcie wyglądało.

Pochód wolnym krokiem skierował się ku kościołowi katedralnemu, aż pod same wielkie drzwi jego, które zastali zamknięte. Stukano i dobijano się chwilę, ale książę natychmiast dał znak do odwrotu. Uchylił sam kołpaka przed kościołem i w tym samym porządku milczący orszak jechał do izby sądowej.

Wszystko co się tu odbywać miało, zawczasu było przewidziane.

Wiadomem było, że książę biskup Massalski, duchowieństwu zakazać mieć udział najmniejszy w fundowaniu Trybunału, ale tam gdzie kapłanów potrzeba było do słuchania przysiąg, znaleźli się opatrzeni wcześniej księża ze Żmudzkiej dyecezyi.

Z sądownictwa dawnego, książę nie znalazł nikogo, oprócz starego podsędka wileńskiego Mańkiewicza, któremu zwierzył zaraz, aby porządkiem zwykłym przystąpił do ufundowania, zapraszając deputatów do przysięgi.

Wiedzano już ilu ich przytomnych było i gotowych do zajęcia miejsca na krzesłach.

Mańkiewicz tedy powołał do przysięgi.

Przez poszanowanie stanu duchownego na pierwszym miejscu szło tu duchowieństwo, deputaci kapituły wileńskiej, żmudzkiej i innych.

Wileńscy, którym przed ekskomuniką Massalski zakazał się stawieć — nie stanęli. Znalazło się jednak choć dwu, dających przykład dobry, deputat duchowny kapituły żmudzkiej i kapituły smoleńskiej.

Kolej przychodziła na deputatów świeckich, których wielu należało do partyi Czartoryskich. Ci chociaż zostali wybrani zgodnie, bez opozycji i nie podpadał wybór ich najmniejszej wątpliwości, wszyscy byli nieprzytomni. Można się było obawiać, iż Trybunał dla braku sędziów niemożliwym się stanie.

Z obliczenia jednak przyjaciół Radziwiłła i hetmana Sapiehy wypadało, że Trybunał mógł być ukonstytuowany. Z tych ani jednego nie zabrakło, a przeciw żadnemu z nich nie objawiła się opozycja.

Wszystko to szczęściem jakimś, pomimo wielce wzburzonych umysłów, mimo namietności grających silnie, szło tak spokojnie i gładko, że książę podkomorzy wydziwić się nie mógł i powtarzał ciągle: „jak z partesów, jak z partesów!!“

Na twarzy księcia wojewody, malowało się wielkie ukontentowanie.

Poważny był i spokojny.

Deputaci złożywszy przysięgi, nie bawiąc, na ustęp szli dla wyborów z pomiędzy siebie marszałków, vicemarszałków i innych trybunalskich urzędników.

Jak to poprzednio już postanowionem było książę Hieronim Radziwiłł podkomorzy litewski *unanimitate* wybranym został marszałkiem wielkim. Bohusz, książęcy sługa — vice-marszałkiem, Łopaciński przyjaciel i wierny domu adherent marszałkiem trybunału skarbowego i t. p.

Do koła duchownego z należnych mu ośmiu deputatów świeckich, marszałek obrany stante pede wyznaczył tylko dwu, dopókiby deputaci kapituły wileńskiej przysięgi nie złożyli.

Wszystko to wedle dawnego obyczaju w niczem mu nie chybiając, nie zmieniając z osobliwym pośpiechem, a jeszcze osobliwszym spokojem, niezakłóconym niczem, odbyło się, jak gdyby już opozycja zwyciężona dała za wygraną.

Książę dotrwawszy tu *decenter* i z wielką powagą do końca samego, po zaproszeniu Trybunału całego do siebie, nazad z tą samą pompą i orszakiem przez ulice, jeszcze ducha pełne pociągnął do kardynalji.

Lecz w tym powrocie, chociaż się ludzie książęcy wstrzymywali od wszelkiej manifestacji tryumfu i rankoru do nieprzyjaciela, nie obeszło się tu i owdzie bez zaczepki i napaści, bez słów obelżywych i odgrózek.

Gdzie się ludziom wojewody niepodobała jaka fizys skrzywiona, oddawano jej za kwaśne oblicze ruchami wyrazistemi, a niejednen przychodził podejrzanym po plecach oberwał. Wszelako komendanci umieli tak jakoś hamować swoich podwładnych, że do żadnego znaczniejszego tumultu nie przyszło, a gdy

przed kamienicami ciągnięto, w których gniazda były kanclerskich przyjaciół, tam baczość podwajano. Z tego jednak co utrzymanie wojska w karności dnia tego kosztowało, wnosić było można, iż jeśli się kanclerscy przyjaciele prędko nie wyniosą z Wilna, na sucho im nie ujdzie.

Wszyscy bowiem o manifeście wczorajszym wiedzieli już, chodził on z rąk do rąk, czytano go z oburzeniem, a gdy ludzie od pióra odpowiedzi się dopominali, zagłuszano ich tem, że na pisma podobne kiem tylko odpowiadać się godzi.

Wzburzenie przeciwko kanclerzowi i biskupowi Massalskiemu po przyjęciu i pijatyce w kardynalji urosło jeszcze, gdy się dowiedziano co tymczasem zaszło od strony przeciwnej.

Biesiadowano tu ochoczo i wesoło, gdy Tołoczko, który był ciągle na koniu lub na wózku nadbiegł do hetmana Sapiehy z wiadomością, że Massalski w katedrze nowy manifest się czytać i podpisywać zabiera.

— Płakać i manifestować się każdemu wolno! — zawołał Bohusz vice-marszałek — niech im przez to ulży na wątrobie!

Ponieważ Tołoczko sam się ofiarował jechać do katedry na zwiady, dano mu benedykcję na drogę wielkim kielichem, który i on spełnić musiał, bo książę wojewoda wymówki żadnej słuchać nie chciał.

Chociaż kościół katedralny zrana zamknięty, teraz dla wszystkich był otwartym, miano jednak baczenie u drzwi, aby się nie wcisnęło nadto Radziwiłłowskich przyjaciół, którzyby tumult wywołać, lub protest publiczny mogli uczynić. I Tołoczko dostawszy się do drzwi parlamentować musiał ze stojącą u nich strażą, póki go wpuszczono. Ale, że sam jeden był i kilku tyrfami poparł prawo swe wniknięcia do kościoła i dało mu ingres bez przeszkody.

Katedra w tej porze dnia niezwyklej do nabożeństwa, niezbyt była przepełnioną, tak że część publiki

posadzić było można o to, iż z rozkazu biskupa tu się znajdowała.

Dostojniejsi tylko, ciż co wczora, nie wyjmując pułkownika Puczkowa znowu w presbiteryum swoje zajęli miejsca.

Biskup fioletach tylko w komży i stule, ale z koronkowemi mankietami i koronkowemi obszyciami bogatemi, na tronie swym zasiadał. I tak samo jak wczora, zabrał głos namiętny przeciwko opresyi i dokonanemu już gwałtowi, który poparł tenże sam Narbutt, a po nim kilku innych *stellae minores*. Dopominano się *iterum* manifestu, który gotowym się znalazł i natychmiast odczytanym.

W tych wszystkich czynnościach, jedno się najwyraźniej czuć dawało, to pośpiech gorączkowy jakiś, jak gdyby się obawiano, aby gwałtownik ów, przeciwko któremu się porywano, nie najechał kościoła i protestujących nie rozpędził.

W manifestcie nie pominięto pośrednictwa przez króla zesłanych rozjemców, księdza biskupa kamienieckiego i kasztelana połockiego, wystawując Czartoryskich jako do ustępstw skłonnych, a wojewodę jako głuchego na wszelkie namowy i rady.

J. O. Książę Radziwiłł — mówił dalej manifest — nietylko żołnierzy swoich nadwornych do izby sądowej zbrojnie przystawionych i armat pod zamek sprowadzonych odciągnąć nie chciał, ale jeszcze większą ich przymnożywszy liczbę, przystęp szlachcie z manifestami i dekretami przeciwko deputowanym, a nawet niektórym sędziom zatamował. Także duchowieństwo *ob metum* sprofanowania *diluvis sanguinis* kościoła, nabożeństwa zwykłego odprawować bezpieczeństwa nie miało i duchowni deputaci do przysięgi *accedere* nie wazyli się.“

Cały manifest równie z ręcznie tłumaczył to na korzyść Czartoryskich co było ich winą, jak zasługą wojewody w pohamowaniu się od gwałtów i narusze-



nia pokoju, zaprzeczał, a wymyślone opresye mu wyrzucał.

Protestował w ostatku, ale i tonem i obelżywemi wyrazami nie tak już raził jak pierwszy.

Czuł w nim było niezmierny ból, iż stronnictwo, które się za silne dosyć uważało, by wojnę wypowiedzieć Radziwiłłowskiej potędze, zostało zwyciężone, pokonano i Trybunał *de facto* ufundowany istniał.

Dla zerwania go potrzeba było absencji kilku deputatów przeciwnego obozu i kilku duchownych, ale zupełnego cofnięcia się większości i opatrzenia wojewody.

Tymczasem jawnem było po ukonstytuowaniu wedle obyczaju i dopełnionych przysiąg, iż Trybunał istniał i sądzić miał jak poprzednie, a legalność przynajmniej co do form, zachowaną została.

Tołoczce zdawało się, że widział na twarzach, że czuł w głosie protestujących zniesienie jakieś i zniechęcenie. W tej grupie, która otaczała tron biskupi żywe prowadzono rozmowy, które zdala wydawać się mogły sporami i wymówkami. Twarze były posępne, a ks. biskup Massalski miotał się namiętniej niż kiedy, na wielki ołtarz nie zważając ani na świętość miejsca.

Jeden tylko świadek bierny pułkownik Puczków, znudzony poziewał pokryjomu ręką się zasłaniając, i okiem ciekawem, znużonem toczył po starych poczerniałych murach kościoła, okrytych nagrobkami.

Po odczytaniu nowego manifestu, który jak się później okazało, równie z pierwszym do akt wniesionym nie został. Biskup, hetman wielki, kanclerz, pułkownik, wszystko razem z pośpiechem wielkim wyniosło się, powsiadało do powozów i rozproszyło po kwaterach.

Tołoczko wyszedł niepostrzeżony przez nikogo, a że hetman na niego czekać miał w kardynalii, pojechał z raportem do niego. Zastał tam to czego się spodziewał, pijatykę rozpasaną, hałaśliwą a księcia



wojewodę przodującego. Winszowano mu tryumfu, co ów z uśmiechem przyjmował.

Gdy Tołoczko się pokazał, zwrócił się do niego, i *ante omnia*, dla odwilżenia gardła kazał mu spełnić jednego z apostołów.

Apostołami zwano dwanaście kieliszków, tak wymierzonych, iż każdy z nich we dwójnasób tyle wina w sobie mieścił co poprzednik. Szczęściem dla niezbyt tegiej głowy pana Buńczuczno dostał mu się jeden z początkowych, a wojewoda o dalszy ciąg nie nąstawał.

Rotmistrz potwierdził, że manifestacya dzisiejsza daleko była umiarkowaną od swej poprzedniczki, i że ichmość protestujący przeciwko gwałtom mieli smutne twarze, zniechęcone oblicza...

Pito tedy zdrowie księcia podkomorzego, nowego marszałka, Bohusza, deputatów, urzędników i t. p.

Zanosilo się na jedną z tych hulanek nocnych księcia wojewody, które czasy miecznika przypominały. Tołoczko nie miał ochoty brać udziału w tem rozpasaniu, któremu rzadko kto mógł wydolać, i wymknął się nie czekając na hetmana, który wygodnie się rozsiadłszy drzemać się zabierał. Służba powoływała go na Autokol, gdzie już pannę Anielę instalowaną się znaleźć spodziewał.

Nie był Tołoczko jeszcze tak dalece wtajemniczony w sympatye i antypatye hetmanowej, ażeby zawsze mógł odgadnąć, co ją pocieszy, a co ją zasmuci, i dziwował się, gdy czasem przyniesiona plotka, która mu się wydawała smaczną, znalazła się dla niej wstrętliwą.

Zręczna pani umiała mu potem to wytłómaczyć, ale w taki sposób, że zwykle jej nie odgadł. Pan Buńczuczny wprost tylko po szlachecku wnosil, że cioteczni bracia z sobą musieli się kochać, i że hetman a zatem i hetmanowa z sukcesów Radziwiłłowskich cieszyć się musiała.

Po drodze na Autokol mógł się przekonać, że Ra-

dziwiłłowscy, dwornia, rozpuszczona na dziadowski bicz, tryumfem pańskim i winem do szału była doprowadzoną. Spotkał kilkudziesięciu młodzieży konno z pistoletami przebiegających ulicę i szukających tylko sług Fleminga lub Czartoryskich, aby na nich wyrzucić pomstę za manifesta księcia infamujące.

Napadli oni nawet Tołoczko po ciemku, którego poznawszy, gdy ich zgromił a zapowiedział, że o tem doniesie księciu, puścili nietkniętego. Słysząc było po zaułkach krzyki i strzały, niespokojny zapowiadał się Trybunał. Postanowił mówić o tem hetmanowi, aby nie dopuścił rozpasania i gwałtów, któreby i nieprzyjaciela niepotrzebnie drażniły i Radziwiłła jako gwałtownika okrzyczanego, mogły w istocie uczynić w oczach wszystkich niepoprawnym, a do miecznika litewskiego podobnym.

W pałacu na Antokolu tego wieczoru hetmanowa nie miała nikogo, oprócz panny Anieli i przyjaciółki swej z lat dziecińczych wojewodzicowej, z którą żyła jak z siostrą.

Wojewodzina wówczas na wielkim świecie znana pod imieniem Sylfidy była bliską krewną Lubomirskich, a charakterem i temperamentem zbliżała się wielce do hetmanowej. Tyle tylko, że jej piękności nie miała, ale za to z wielką sztuką malować się, stroić, i czynić umiała pełną, bo figurę, rączkę i nóżkę miała zachwycającą.

Panna Aniela, która zdała się musiała trzymać, bo dwie przyjaciółki szeptały coś cicho, nudziłaby się może, ale mogła swobodnie przez ten czas czytać romans francuzki, niezmiernie sentymentalny, który ją do najwyższego stopnia zajmował. Dwie przyjaciółki zwierzały się sobie wzajemnie i zdaje się, że Sylfida miała posłannictwo pośrednictwa, aby stolnika przyciągnąć do hetmanowej.

Dwie panie tak były przejęte rozmową, która już trwała przeszło godzinę, iż nie posłyszaly jak Tołoczko się zjawił w salonie. Ale za to się on nie

gniewał, bo po drodze mógł naprzód powitać pannę Anielę, pocałować jej rączkę i przypomnieć, że on na to dzwonił kazanie.

— Widzi pani — szepnął jej po drodze — że się moje przepowiednie ziściły. Szelest i szept zwrócił hetmanowej uwagę i nareszcie postrzegła Tołoczkę. On zdumiał się złemu humorowi, który na jej twarzy był widocznym, a wywołała go w części obojętność stolnika, intrygi wojewodziejowej mściśławskiej, w ostatku, i tryumf Radziwiłła, którego właśnie Tołoczko przyjechał winszować.

— Nie spodziewam się, żebym pierwszy tu przyniósł pani hetmanowej wiadomość, żeśmy świetne odnieśli zwycięstwo.

Sapieżyna przerwała niecierpliwie.

— Zmiłuj się, któż to — my? my? ale ja ani dla męża ani dla siebie z tego tryumfu nic nie myślę rewendykować.

— Jaki? — zawołał zdumiony rotmistrz, a po której — że my stronic stoimy?

— My... — odparła księżna — a przynajmniej ja, nie chcę stać po żadnej stronie. Czartoryskich nie mam ochoty kochać, a księcia Radziwiłła, choć to brat cioteczny, jegomości księcia — nie cierpię.

— Cóż to znaczy? jak Boga kocham, nie rozumiem! — zawołał Tołoczko.

— No, to już nie będziesz chyba tego nigdy rozumiał — wołała księżna — że książę z tą swoją pijatyką, którą mi męża do choroby zamęcza, stał mi się nieznośny. A gbur i impetyk, jakiego drugiego nie znaleźć.

Tym wybuchem szczerości, rotmistrz stał skonfundowany mocno.

— Księżna pani pozwoli, ażebym ja o tem nie wiedział — odezwał się zmięszany. Ja z obowiązku sługi pana hetmana i pani mej, którą wencruję, przyjeżdżam oznajmić, iż Trybunał *feliciter* ukonstytuowany, ale to tak świetnie i szczęśliwie...

— Wiesz waćpan wszystko?—przerwała mu księżna.

— Zdaję się, że chyba nie wiele kto więcej czem się pochwali—rzekł Tołoczko.

— Znajdujesz wszystko dobrem co książę zrobił—mówiła zaanimowana wielce hetmanowa — a cóż powiesz na to i co powiedzą nieprzyjaciele jego, gdy się okaże, że książę na deputatów do przysięgi dopuścić kazał takich, których nigdy nikomu ani się śniło wybierać.

— Jezus! Marya!—zawołał Tołoczko—któż to hetmanowej doniósł... kogoż się to tyczy?

— A pan sędzia Aleksandrowicz—mówiła hetmanowa—a Romanowicz, a Gutowski??

Tołoczko, który szczegółów się nie dowiadywał, stał niemy. Bolało go i to, że księżna była tak informowaną doskonale i że zdawała się nie sprzyjać Radziwiłłowi.

Zafrasował się tem szczególnie, że o tych posłach nie wiedział.

— Ha!—odparł—pokornie — ja się chyba do dysmisji podać muszę, kiedy jestem tak źle informowany.

Księżna widząc jego minę skrzywioną i upokorzenie, nagle, jak to się jej trafiało często, ze smutku przeszła do śmiechu.

— Nie frańuj że się—rzekła—bo ja te wiadomości przecież winnam wam—zawołała.—Przejęłam liścik do was pisany.

— Ale mnie konfuzyja spotyka wielka—rzekł Tołoczko—widzę, żem się nie zdał do niczego—nie wiedziałem o tych deputatach.

— Będą niemi księciu w oczy rzucali — wtrąciła hetmanowa.—Wiem, że on sobie nic z tego nie czyni, ale ci, co z nim trzymają, radziły go widzieć czystym no i rozumnym... a on robi co może od rana do nocy, aby się pozbyć odrobiny rozumu, której go mieznik nie pozbawił.

Tołoczko miał czas się rozmyśleć, a że nigdy księżnie się nie sprzeciwił, zamilkł i teraz. Nie rozumiał jej, a urazę jakąś do księcia miał za przemijającą. Wysłuchawszy wielu przycinków dawanych Radziwiłłowi, zabrał głos i co wiedział o fundacyi Trybunału, o nowym manifestcie Czartoryskich, o ceremonii powtórzonej w kościele, opowiedział żartobliwie.

— Będziemy się wszyscy starali—dodał—księcia niedopuszczyć do wybryków żadnych i on teraz do nich ochoty niema. Co wojewoda, to nie miecznik, co się młodemu miecznikowi tolerowało, nie przysłało poważnemu wojewodzie. Bieda tylko będzie z młodym dworem księcia jegomości, który za manifest pomsty szuka.

Hetmanowa pomiarkowała snąć, że zaszła zadaleko, wynurzając się przed Tołoczka i zamilkła.

Rotmistrz był zasmucony, choć mu w końcu za jego informacye podziękowała.

— Idź waćpan zabawiaj pannę Anielę—szepnęła mu, chcąc się go pozbyć—bo my jeszcze mamy małą konferencyę z panią wojewodziną.

Uradowany rotmistrz odszedł do strażnikówniej, którą znalazł w dosyć dobrym humorze. Obdarzyła go wejrzeniem łaskawszem, wywdzięczając mu się za wyratowanie z tego towarzystwa gburów, które matkę otaczało.

U hetmanowej była w tem świecie, do którego wzdychała. Wczorajszy trzewiczek Bujwida nie mógł jej wyjść z pamięci. Rumieniła się myśląc o nim. I miała może słuszość, bo niekoniecznie rada była, że miarę nóżki jej wzięto, która choć pięknych kształtów, niekoniecznie drobnemi się odznaczała rozmiarami.

Tołoczce, chociaż był rozkochany, na sentymentalną rozmowę w tym tonie, jaki by się mógł podobać pannie Anieli, zdobyć się było trudno; ograniczył się więc zabawianiem jej rozmaitemi szczegółami ty-



czącemi hetmanowej, jej gustów i usposobień, aby zastosowaniem się do nich mogła sobie jej względy zaskarbić.

Umiała to ocenić panna Aniela.

— Nie miej pan o mnie złej opinii — rzekła w końcu — iż od matki rodzonej uciekam i innego szukam towarzystwa. Z panią matką było by mi najlepiej i najmilej, gdyby żyła z ludźmi, jakich ja lubię.

— Bardzobym jej wdzięcznym był — przerwał Tołoczko — gdybyś mnie nauczyć raczyła, czem się jej podobać można?

— Mnie? — odpowiedziała strażnikówna. — Ja się wychowywałam więcej przy ciotce, niż w macierzyńskim domu. Nawykłam do ludzi i obyczaju większego świata, a tej poufałości, rubaszości i grubijaństwa jakie matka moja znosi, bo się z niemi oswoiła, nie cierpię. Wczoraj o małym się nie spaliła ze wstydu i gniewu gdy mi starosta Pogorzelski trzewik zdjął, aby z niego zdrowie pić! Niewiem jaki to obyczaj, ale pewnie w Paryżu o nim nie wiedzą. Ja lubię ludzi łagodnych, grzecznych, miłych i szlachetne mających sentymenta, a nie sejmikowiczów i palestrantów.

Panna mówiła śmiało — Tołoczko dumiał.

— U pani hetmanowej — rzekł — sędzę, że panna strażnikówna będziesz w swoim żywiole. Postaram się o to, ażeby ona zatrzymała ją przy sobie. Zabawić tylko potrzeba i smutnej nie okazywać twarzy, a pokocha i nie puści od siebie.

— A! ten Bujwid — odezwała się po chwili — dla niego jednego radabym uszła, bo mnie prześladuje swojemi konkurami, a ma protekcję matki. Cała moja nadzieja w pani hetmanowej.

— I ja ręczę, że ta nadzieja nie zawiedzie — dodał Tołoczko, a na Bujwida, który tu się dostać nie będzie mógł, sposób znajdziemy.

— O! bardzo panu wdzięczną będę — wtrąciła oży-



wiając się strażnikowa. — Wolałabym do klasztoru niż wyjść za człowieka, który nigdy sentymentu dla nikogo mieć nie może, bo jest nieokrzesanym gburem.

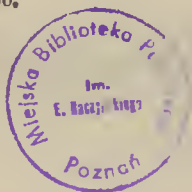
— Ja tu u pani hetmanowej innem oddycham powietrzem!!

Tołoczce to poufne zwierzenie się bardzo smakowało, ale mimowolnie myśl mu przyszła i wątpliwość czy on też był dosyć okrzesany dla strażnikówniej.

— Ha! — rzekł sobie w duchu — dziej się wola Boża, ostatnia to miłość moja, albo ta, albo żadna!!

KOŃIEC TOMU PIĘRWSZEGO.

San Remo 1886.





Biblioteka Raczyńskich

**JK 866**



JK0866